

Nr. 49. Kraków, Kwiecień 1925. Rok VII.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. — PRENUMERATA CAŁOROCZNA Zł. 4·—, PÓŁROCZNA Zł. 2·50.

Konto P. K. O. 400.883. Wszelką korespondencyę i przesyłki przedpłaty należy przesyłać pod adresem: ROMAN FEREK KRAKÓW, UL. ŚW. KRZYŻA 11, „GŁOS NARODU“. Konto P. K. O. 400.883.

Nasza kultura muzyczna

jej stan i warunki rozwoju.

(Dokończenie.)

Dotychczas omówiliśmy główniejsze warunki i pewne niedomagania naszej kultury muzycznej, pochodzące przeważnie z braku dobrego przykładu lub niedostatecznej pracy nad jej krzewieniem. Dziś podnieść musimy i tę okoliczność, że ubóstwo naszej literatury muzycznej, datujące się od szeregu lat, nie mogło inaczej wpłynąć na rozwój kultury muzycznej, jak tylko ujemnie.

O ile sąsiadujące z nami narody, od dawien dawna posiadające po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt pism muzycznych, o tyle powstające co pewien czas pisma muzyczne w Polsce, po krótkim zwykle żywocie, kończyły swe istnienie. Powód upadku nowopowstających pism był zawsze jeden i ten sam: brak czytelników. — W konsekwencji, gdy zapytamy, czemu był brak czytelników, znajdziemy odpowiedź w braku kultury.

Przypatrzmy się i teraźniejszości. Dzięki Bogu, w ostatnich czasach powstało w Polsce kilka nowych pism muzycznych i te spełniając należycie swe zadanie kulturalno-oświatowe, dziś mają już egzystencję zapewnioną. W polskich nakładach nazwiska polskich autorów i pedagogów spotykamy coraz częściej, a w tych pracach przebija zawsze charakter narodowy i polska pieśń rodzima.

Lecz to wszystko, co dzisiaj widzimy, jako nowo tworzące się podłoże literackie do przyszłego rozwoju kultury muzycznej, jest zaledwie kropelką czystej wody, wpadającą w bagno rozmaitej tandety, w jaką nas zaborcy wprowadzili.

Podręczników muzycznych, popularnie opracowanych, nie posiadamy prawie zupełnie. Również brak jest u nas literatury naukowej praktycznej, któraby dla mniej wykształconych, lecz muzykalnie przygotowanych, stanowiła rodzaj doradcy lub drogowskazu, jak postąpić w danym wypadku.

Podręczniki szkolne w dzisiejszem stadjum są jeszcze jakby rodzajem monopolu autorów, którzy, mając pewien wpływ na komisję cenzuralną, lub zabierając sami głos w tej sprawie, dyskwalifikują nieraz i dobre prace.

Rozporządzenie Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, wydane w sprawie podręczników szkolnych, zaznacza, że kierownik szkoły będzie „osobiście odpowiedzialny“, gdy nauczyciel, wykładający w szkole jego, wprowadzi, bądź poleci młodzieży podręcznik, nie zamieszczony w spisie urzędowym Ministerstwa.

Sprawa podręczników szkolnych, ujęta w tak stanowczy sposób przez władze nasze, wywołała w prasie codziennej ostrą polemikę i odbiła się echem w organie urzędowym Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, w tygodniku „Sprawy Towarzystwa“. W nrze 22 tygodnika Prof. Stefan Kwiatkowski, opisawszy dokładnie drogę, którą musi przejść każdy podręcznik, jeżeli autor jego chce uzyskać zatwierdzenie Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego do użytku w szkołach, zwraca uwagę na szereg trudności, piętrzących się niemal na każdym kroku, oraz na krzywdę, jaka dzieje się nieraz autorowi podręcznika, autorowi, zmuszonemu lata całe czekać na opinję „Komisji Książek i Pomocy Szkolnych“. Dodać tutaj jeszcze należy, iż opinja ta jest niejednokrotnie niesłuszna, a chociaż autorowi przysługuje prawo odwołania się w razie opinji nieprzychylnej (i niesłusznej zarazem), nie przyśpiesza to sprawy samej.

Nadto, jak twierdzi p. Kwiatkowski, w łonie Komisji do oceny podręczników urabia się opinja, by nie polecać

w przyszłości nowych podręczników, o ile dla danego przedmiotu i w danej klasie istnieje już podręcznik dostosowany do programu i polecony. Gdyby opinja ta miała istotnie utrwalić się, w co wątpimy osobiście, o postępie myśli pedagogicznej i dydaktycznej nie mogłoby być mowy na długie lata.

I na jeszcze jedną rzecz zwraca uwagę p. Kwiatkowski: istnieje kilka rodzajów ocen, jakgdyby stempli, które wyciska Komisja na podręczniku, a więc: „polecony, przystosowany do programu Ministerstwa“, „polecony, niezupełnie przystosowany do programu“, „dozwolony, nieprzystosowany“ i t. p. Oczywista, że każdy autor, pragnąc otrzymać dla podręcznika swego jak najlepszy stempel (a więc: „polecony, przystosowany“), pisze podręcznik ściśle podług recepty, nie troszcząc się o nową myśl twórczą. A więc znowu nie może być mowy tutaj o jakimkolwiek postępie.

Jak ogólnie wiadomo, literatura należy do tych czynników, które są podstawą całego systemu naukowego, a zarazem stanowi o rozwoju kultury duchowej narodu. Jeżeli społeczeństwo okazuje mniej zainteresowania się literaturą, jest najlepszym dowodem, że kultura nie osiągnęła jeszcze tego stopnia, jaki mieć powinna. Upadały dawniej pisma muzyczne, dzisiaj poczynają się dźwigać do życia, co świadczy, że zwolna zmierzamy ku naprawie dawniejszych zaniedbań. Jak wykazaliśmy w naszych artykulikach, stan naszej kultury muzycznej jest zły i pełny niedomagań, lecz nie beznadziejny.

Od tych, którzy zrozumieli już doniosłość akcji, prowadzonej na rzecz naszej kultury muzycznej, zależy, czy z obecnego stanu wybrniemy szybkiem tempem, czy też prowadzić będziemy dalej mozolną walkę z nieuctwem i partactwem. Słysząc jednak o coraz to nowych usiłowaniach, zmierzających do odbudowy naszej kultury muzycznej, o naszych zamiarach wydawniczych, uważać należy, że idziemy naprzód i życzymy sobie, aby ten zapał do pracy, z jakim nauczycielstwo, muzycy i miłośnicy pieśni przystąpili do akcji, był trwałym i wydał takie owoce, aby historja zaznaczyła po raz drugi, że w Polsce wiek XX. pod względem kultury muzycznej zaznaczył się również jako „wiek złoty“. H. P.

Jeszcze o śpiewie gregorjańskim
i śpiewie całego ludu.

Przedruk z „Gazety Kościelnej Nr. 5. — 1925.

Powszechna dziś istnieje tendencja materjalizmu, a obok niego estetyzowanie wszystkiego. I nic dziwnego, bo religją materjalizmu są zjawiska estetyczne, tylko „oczyszczone“ ze wszystkiego, co przypomina wyższy porządek. Dlatego obok hasła: istnieje tylko materja, choćby „uduchowiona“ bez twórczego Osobowego Ducha, będąca dla siebie początkiem i racją, idzie hasło: sztuka dla sztuki, wolna od wszelkich względów i praw nawet moralnych; autonomja człowieka, autonomja sztuki: wszelkich praw moralnych ostatecznym sprawcą jest człowiek czy jednostkowy czy zbiorowy, wszelka sztuka jest bóstwem, które nikomu i niczemu nie może i nie powinno ulegać.

Wyrwana z organizmu życiowego sztuka awansowała na bóstwo i do tego musiało dojść. Nie jest to zjawisko odosobnione, bo i w naukach to samo: np. wyemancypowana socjologja ogłosiła swą niezależność od etyki i podobnych praw zażądała pedagogja, a wszystko to w imię czystej wiedzy. W rezultacie niema teraz porządku, rozbija się wszystko, jednostronność i stronniczość na każdym kroku. Są tacy, którzy poza pedagogją, socjologją, estetyką nic nie widzą nic, tylko ze swego stanowiska oceniają wszystko. Oczywiście dochodzą do najfałszywszych wniosków, bo człowiek i życie ludzkie jest uporządkowanym organizmem, który musi być podporządkowany najwyższemu Dobru. Bez tego będzie chaos, przerost jednostronny, zamieranie innych koniecznych składników i śmierć.

Przeszczepiony na pole religijne estetyzm spycha religję katolicką do kultu, a życie moralne do praktyk tego kultu. Oczywiście znaczenie kultu jest wielkie, bo człowiek jako istota duchowo-zmysłowa potrzebuje usymbolizowania prawd ducha. Kult zawiera w sobie wszystkie elementy psychiczne porządku wyobrażeniowego i emocjalnego.

Ale jak racjonalizm chce ze szkodą woli i uczucia dać wyłączne panowanie rozumowi i odbiera zasadom ich żywotność, tak znowu estetyzm odrywa symbol liturgiczny od korzenia nauki, a przynajmniej go zaniedbuje, czci zewnętrzną formę i sprowadza religję do wrażeń estetycznych. Przybiera to rozmaite formy:

1. Kult zewnętrzny uważa się świadomie, czy nie, za coś pryncypalnego tak, że katolik przyzwyczaja się powoli widzieć w nim istotę moralności chrześcijańskiej i zatrzymuje tylko gest zewnętrzny. Chodzi jeszcze na Mszę św., rzadziej do Sakramentów św., ale ludzie potem mówią, mając takich katolików przed oczyma, że można nie chodzić na Mszę św., a być uczciwym człowiekiem. Tacy katolicy nie są uświadomieni co do zasad katolickich, kult i etyka chrześcijańska u nich — to jedno. Ze środka robi się cel, bo liturgja jest środkiem do zyskania miłości Bożej i zbudowania.

2. Do drugiej klasy należą dyletanci religijni. Dyletant t. zw. „dogmatyczny“ nie szuka prawdy dla niej samej, tylko, by się o nią otrzeć i doznać miłego wrażenia. Powiedział Renan-dyletant, że prawda jest kokietką, która się wymyka z rąk, kiedy się ją już prawie ma, a zjawia się, kiedy się o niej nie myśli. Ironja i powątpiewanie są dwoma skrzydłami, na których buja dyletant w regjonach marzenia. Dogmaty są dlań gwiazdami, które błyszczą nad nim, zdala od niego. Chce tylko połaskotać swój rozum, a im bardziej zwodnicze są idee, tem więcej go pociągają. Idee religijne, zawierające tajemnice, są dobrem polem ćwiczeń dla dyletanta. Katolik widzi w dogmatach rzeczywistość, dyletant marzenie. U katolika dogmat ciąży nad życiem, łamie egoizm, prowadzi po drodze obowiązku; u dyletanta jest on tylko fantastycznym mirażem, w którym jak we mgle błąka się myśl chciwa wrażeń. Widzimy to np. u James'a w „Doświadczeniach religijnych“. Dyletant „moralny“ czyni tak, jak powiedział Lemaitre, który chciał być, gdyby mu pozostawiono wolny wybór, najpierw świętym, potem piękną kobietą, następnie wielkim zdobywcą, a wreszcie genjalnym artystą. Oddał on dobrze ducha dyletanckiego, który patrzy się na zagadnienia życia z takiego punktu widzenia: dyletantom moralnym podoba się zwłaszcza mistyka, ale jak pojęta? Probierzem prawdziwej mistyki jest życie i obowiązek. Dyletant uprawia mistykę sentymentalną, melancholijną, która właściwie jest panteizmem.

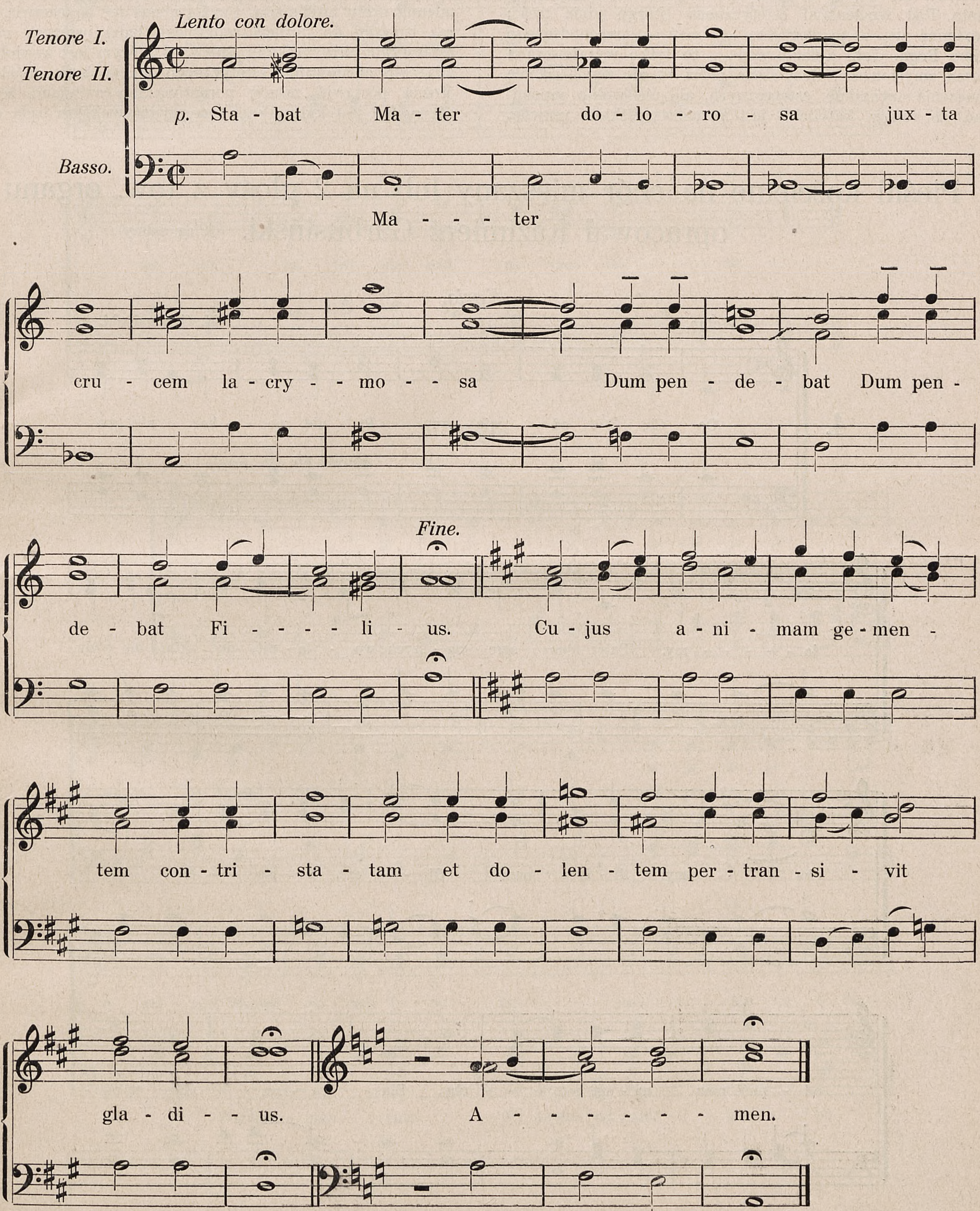
Fałszywy mistyk jest artystą w etyce pełnym chimery i zachceń, bez żadnego poczucia odpowiedzialności i stałej woli postępu w dobrem.

Istnieje wreszcie dyletant „liturgiczny“. Etyka katolicka związana jest z wiarą dogmatyczną, zasilaną z tajemniczych źródeł ceremonji liturgicznych. One mają zmysłowo przedstawić rzeczy Boże i pomagać wzruszeniom religijnym, bo religja czysto wewnętrzna napewno człowiekowi nie wystarczy.

Stabat Mater

(il medesimo a 3 voci virili).

P. Bernardino Rizzi.



Tu łatwo wkrada się dyletantyzm liturgiczny.

Jest rzeczą naturalną, że szukamy symbolów zmysłowych dla rzeczy najgłębszych, nawet dla Trójcy św., ale nie wolno zapominać o tem, że symbol nie jest celem, gdzie zagubiła się treść. Piękna muzyka, piękne słowo, wspaniałe ceremonje, najrozmaitsze inne estetyczne wrażenia... i nic więcej — oto cały sentyment religijny dyletanta. Pod wrażeniami estetycznemi liturgji ginie treść: zapomina się, że to wszystko jest cień — przechodzącego mimo Boga. Taki dyletantyzm — to tylko wyrafinowana forma zmysłowości. Oczywiście przez to nie zmniejsza się znaczenia czynników estetycznych, ale nie wolno zapominać, że religja katolicka jest przedewszystkiem prawdą, a prawda nie na to jest, by się nią tylko bawiono, przeciwnie jest obowiązkiem służyć prawdzie.

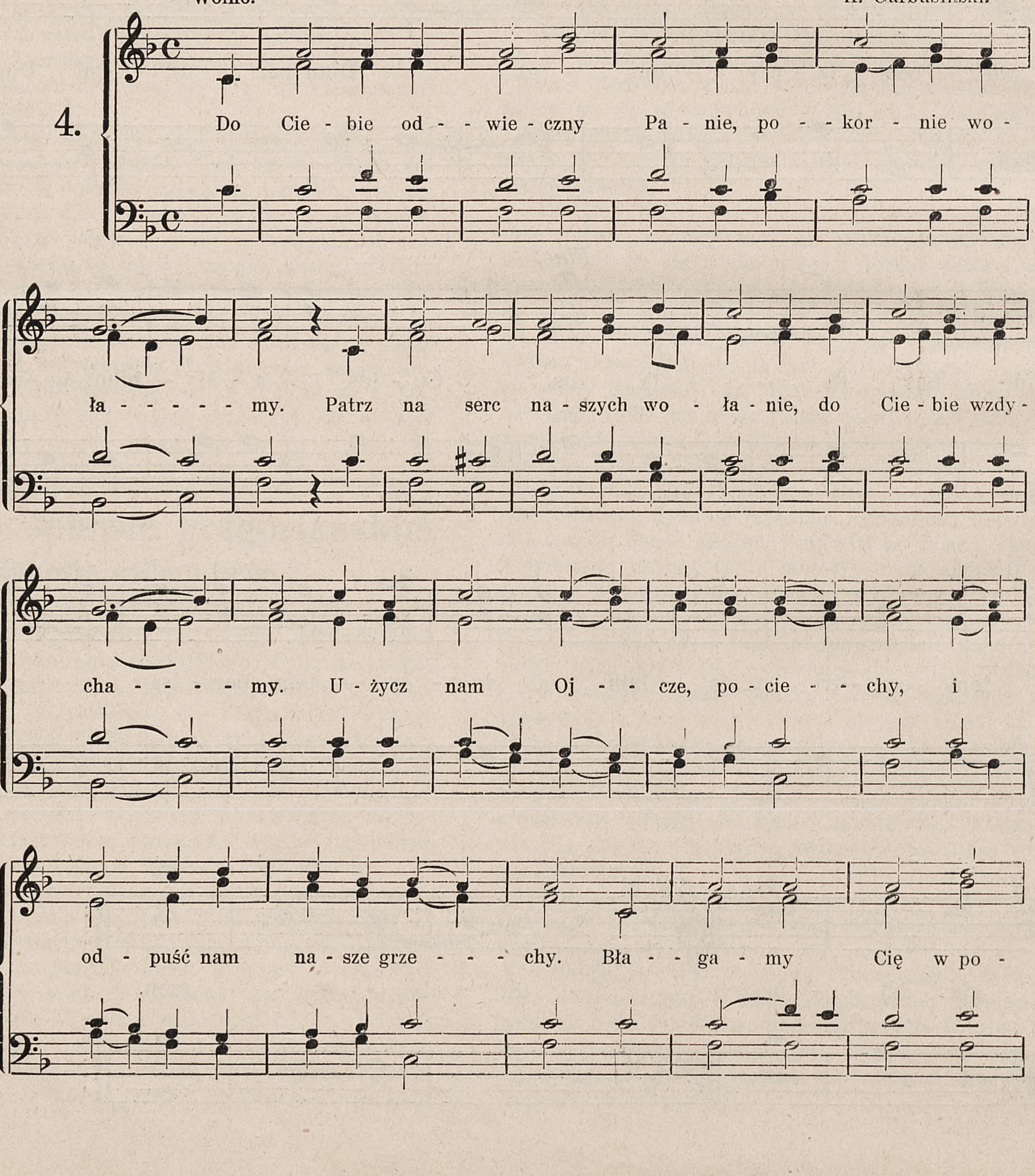
We Francji starano się bardzo gorliwie o wspaniały aparat liturgiczny, o splendor zewnętrzny i wspaniałe śpiewy po kościołach. Ludzie inteligentni oczywiście zawsze ocenią wartość tych wysiłków: za to masy ludu opuściły kościoły, bo logika estetyki tych mas jest troszkę odmienna niż u inteligenta. Czyż i u nas nie przemawia nieraz bardziej do uczucia religijnego ludzi prostych obraz estetycznie niewyszukany, śpiew, w którym jest żywiołowa siła, ale cieniowania estetycznego nieraz brak zupełnie? Można postawić zasadę poręczoną obserwacjami, że im niższy lud jest kulturalnie, tem prymitywniejsze będą upo-
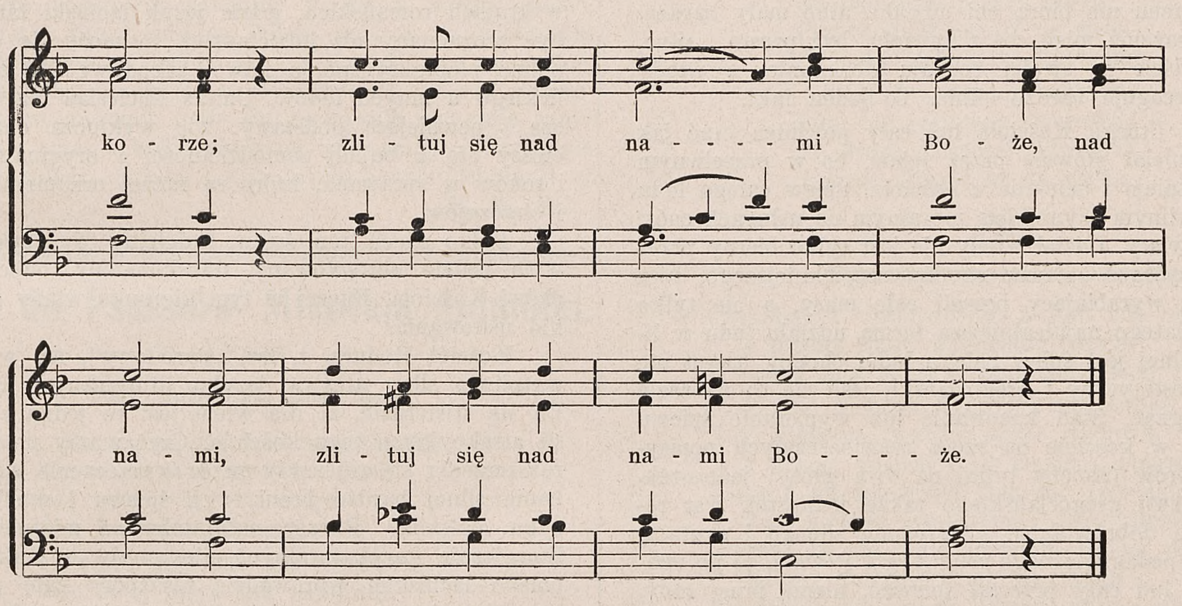
Pieśni kościelne na chór mięszany lub na 2 głosy z tow. organu opracował Kazimierz Garbusiński. (Ciąg dalszy).

Kyrie.

Wolno. K. Garbusiński.

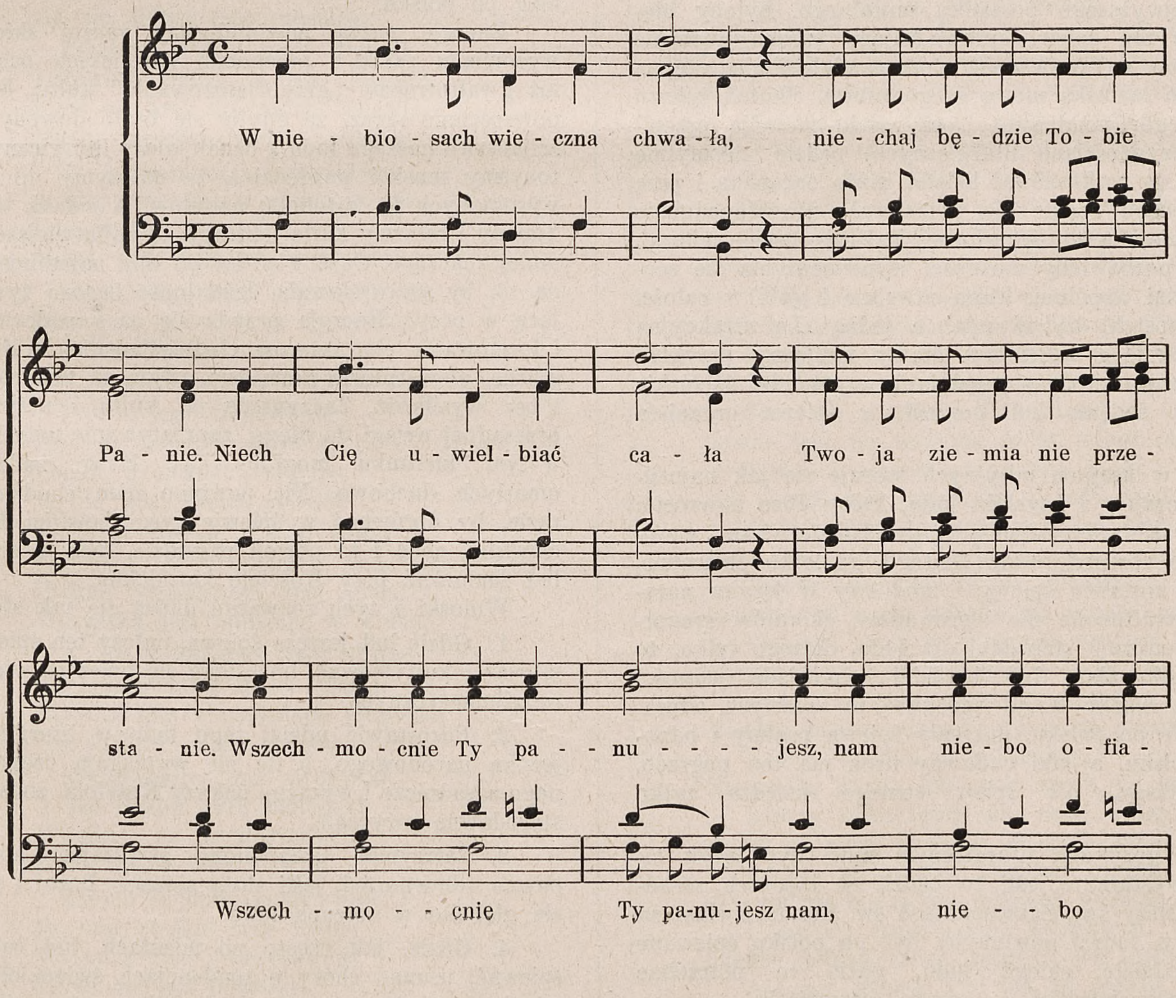
4.





Gloria.

Żywo, ale nie bardzo.



dobania estetyczne. Chór wzorowy, obraz artystyczny, często żadnego wrażenia nie wywołają w duszy prostaków. We wrażeniach estetycznych skomplikowanych wzroku i słuchu nie biorą oni udziału, albo mały bardzo. Muszą te wrażenia mieć coś z żywiołu, być proste i silne, choć oczywiście w swoim rodzaju doskonałe, a wtedy dusza mas reaguje bardzo silnie. To jeden fakt.

Dalej w liturgji Kościoła lud cały powinien brać jak najżywszy udział głównie przez śpiew, bo w przeciwnym razie zobojętnieje i ucieknie z kościoła. Śpiew całego ludu jest bardzo silnym czynnikiem moralnym na usługach cnót: modlitwy i wiary. Udział wtedy nie jest tylko bierny przez słuchanie czyjegoś śpiewu, choćby najpiękniejszego, lecz jest czynny, wyrabiający powoli całe masy, a nie tylko jednostki. Dlatego najidealniejszą formą udziału ludu w liturgji kościelnej jest śpiew całego ludu, choćby nawet nie tak bardzo estetyczny i gregorjański, jeśli się to na razie nie da osiągnąć. Stąd kasowanie lub wypieranie śpiewu całego ludu w kościele na rzecz ześwieczczałych popisywań się chórów (choćby tylko na dwa głosy) jednostek, a nawet śpiewu gregorjańskiego także jednostek jest rezygnowaniem dobrowolnem z ogromnie silnego i skutecznego środka pedagogicznego religijnego. Pewnie, że po miastach, gdzie lud cały przestał śpiewać, niema innej rady, tylko wprowadzić wzorowy chorał gregorjański, a nie koncerty mniej lub więcej świeckie, choćby ze słowami religijnemi. Ale tam, gdzie jeszcze lud śpiewa, gdzie nie jednostki się popisują, gdzie chorał pod względem estetycznym albo i gregorjańskim szwankuje, ale za to jest naprawdę na usługach najwyższego porządku moralnego, byłoby błędem usuwać ten śpiew, sprowadzający bardzo dodatnie skutki etyczne, a wprowadzać niezrozumiałą i niedostępną dla tego ludu łacińską mowę gregorjańską. Skutek śpiewu gregorjańskiego (pominąwszy oczywiście melodje przepisane przy czynnościach liturgicznych) będzie nieomylnie taki: będzie się rozkoszował ksiądz, może organista i parę osób; parę osób będzie się popisywało prawdopodobnie i z silną domieszką miłości własnej, lud cały będzie milczał, nudził się i pozbawiony możności wypowiedzenia się religijnie w pieśni wspólnej, która niweluje i gubi w całości ambicje jednostek, będzie miał o jedną siłę atrakcyjną mniej i ucieknie z kościołów. Mamy najlepszy przykład tam, gdzie wprowadzono zupełnie bez potrzeby łacińskie nieszpory w święta; lud poszedł, a śpiewa organista i ksiądz.

Kościół w krajach misyjnych stosuje się jak najusilniej do zwyczajów i psychiki ludu, który chce nawrócić; chodzi mu przedewszystkiem o to, by obudzić wiarę i wprowadzić etykę chrześcijańską. Dlatego, gdzie to potrzebne, powinno się zostawić śpiewy i modlitwy w języku narodowym, a gwałtownie nie wprowadzać chorałów gregorjańskich i modlitwy łacińskiej dla ludu, dlatego tylko, że to może doskonalsze lub bardziej odpowiada jedności Kościoła. Na Śląsku dotąd egzekwie za zmarłych odprawiają się całe po polsku, lud cały śpiewa psalmy i odpowiada po polsku, a jaki cudowny urok ma ten pogrzeb, o wiele większy, niż śpiew samego księdza tylko i organisty.

Zapewne językiem liturgicznym musi być język łaciński, ale wystarczy, jeśli to będzie w rzeczach zasadniczych: we Mszy św., Sakramentach św. Reszta, zwłaszcza całe nieszpory, raczej powinnyby być po polsku śpiewane przy współudziale całego ludu, gdzie to potrzebne w melodji gregorjańskiej — czystej oczywiście.

Stąd w Niemczech wprowadzono z ogromnym pożytkiem śpiewy całego ludu w melodji gregorjańskiej, ale po niemiecku, z wyjątkiem odpowiadania śpiewającemu celebransowi. A przecież naszemu ludowi jeszcze daleko do wykształcenia ludu niemieckiego. Co może być dobre w krajach romańskich, gdzie język łaciński łatwiej może być zrozumiany niż gdzieindziej, to może się okazać zupełnie niepraktyczne, a nawet szkodliwe dla życia katolickiego u innych ludów. Unitas Ecclesiae ma inne, głębsze i pewniejsze podstawy. Nie wyklucza ona, owszem cieszy się z bujnej samodzielności i oryginalnych barw i tonów w sprawach, które są raczej ornamentacją wiary i obyczajów.

Tylko niech ten śpiew kościelny w języku narodowym będzie kultywowany, udoskonalony, odpowiada duchowi Kościoła. Raczej w tym kierunku winny iść wszystkie usiłowania.

Kościół Hodura, t. zw. „narodowy“, ma w ręku niewątpliwie silny atut w języku liturgicznym narodowym. Da się stwierdzić, że dla wielu jest to jedna z głównych sił atrakcyjnych tego kościoła. Czyż mamy przeciwdziałać rozszerzeniu się tej sekty przez wyrzeczenie się i zaniedbanie silnej bardzo broni, t. j. śpiewu i modlitw w języku polskim? Raczej należałoby na miejsce obecnych liturgicznie karykaturalnych nieszporów z makaronizmem polsko-łacińskim wprowadzić nieszpory całe po polsku, bo nabożeństwo popołudniowe nie należy, jak Msza św. do zasadniczych czynności liturgicznych Kościoła, chyba że to są właściwe nieszpory łacińskie. Jeszcze bardziej karykaturalne jest zaczynanie „Tantum ergo“, lub „O Salutaris“ przez celebransa po łacinie, by lud śpiewał dalszy ciąg po polsku.

Energję naszą powinnibyśmy raczej skierować ku wyrobieniu zasad i przekonań katolickich naszego ludu, niż gwałtownemu „gregorjanizowaniu“ kultu, bo wiadoma powszechnie rzecz, że gdyby się brało dowody na chrześcijaństwo naszego ludu z oznak wiary liturgicznych i kultu, tobyśmy musieli powiedzieć, że należymy do najbardziej wyrobionych po katolicku narodów. A jednak tak nie jest. Zmiany i reformy kultu i liturgji są najłatwiejsze, ale i najmniej znaczące. Czyż więc iść po linji najmniejszego oporu na to, by się wydawała działalność bardzo żywotną i bijącą w oczy? Energja przyda się na kształcenie religijne i formowanie charakterów chrześcijańskich: reformy liturgiczne, niewątpliwie potrzebne, pójdą za tem bardzo łatwo i bez wysiłków. Zaczynanie od kultu i przywiązywanie przesadnej uwagi do niego, zaprzątywanie umysłu i energji w tym kierunku mogłoby być łatwo kadzidłem dla umarłych duchowo. Nie powinno nam chodzić o to na razie, by dorównać w śpiewie gregorjańskim Europie zachodniej, choć i to powoli przyjdzie, lecz raczej o to, by lud zachować przy Kościele katolickim.

Wnioski z tych rozważań dadzą się tak sformułować:

1. Gdzie lud jeszcze śpiewa, należy ten śpiew podtrzymywać i kultywować, bo osiąga się przez to wiele z celów religijno-etycznych.

2. Pozostawić udział tego ludu w liturgji zapomocą języka narodowego, o ile nie wymagają czegoś przeciwnego zasadnicze i wyraźne nakazy Kościoła, znoszące nawet starodawne zwyczaje.

3. Zatrzymać uprawnione zwyczajem starodawnym pewne odmienności, jeśli służą sprawie Bożej i zakorzeniły się głęboko w sercach ludu.

4. Gdzie, jak często po miastach, lud cały przestał śpiewać, usunąć chóry o tendencjach świeckich, o zabarwieniu koncertowem, co nie buduje cnoty, tylko sprawia wyłącznie podrażnienie estetyczne, a wprowadzić chorał gregorjański o duchu ściśle kościelnym. Czy to ma być

koniecznie wszystko w języku łacińskim, to zależy od istniejącego prawa, zwyczaju, mającego moc prawa, lub przywileju.

5. Na podstawie kanonów 2. do 5. można sądzić, że zwyczaje liturgiczne w Polsce, oparte na wiekowem i nieprzerwanem używaniu ich, zachowają swe znaczenie, a przynajmniej trzeba się o to starać, bo nie są „corruptela iuris et morum“, o ile się zachowuje zwyczaje sankcjonowane przez synody, ale przeciwnie mają swe korzenie w duszy całego narodu i promovent bonum religionis et morum.

X. W. W.

Tekst do Psalmów Mikołaja Gomółki.

XXXIX.

Dixi, custodiam vias meas.

Do tegom był myśl swą skłonił,
Abych się był zawżdy chronił
Nie tylko uczynku złego,
Ale i słowa bystrego.

Przeto, gdy mię zły strofował,
Jam swój język tak hamował,
Że nie chcąc rzec słowa złego,
Nie mówiłem i dobrego.

Ale żal mój zatajony
Tem więcej był objątrzony,
Serce mi w gniewie pałało,
Aż się słowo rzec musiało;

Przebóg! Panie mój! długoli
Człowiek będzie w tej niewoli?
Racz mi kres dni mych objawić,
Kiedy przyjdzie świat zostawić.

Ty żywiesz czas nieprzeżyty,
A mój wiek jest w garści skryty,
Lata mojej śmiertelności
Mniej, niźli nic, ku wieczności.

Błąd (mogę rzec sprawiedliwie),
Błąd jest człowiek, a co żywie,
Podobno to ku marnemu
Snu nocnemu, nieznacznemu.

Próżne jego frasowanie,
Próżna praca i staranie,
Zbiera, gromadzi, skupuje,
A nie wie, komu gotuje?

Czego czekać, o mój Boże!
Kto mnie w nieszczęściu wspomoże?
Próżno gdzieindziej słać sobie;
Wszystka jest nadzieja w Tobie,

A Ty z Pańskiej swej litości
Racz zapomnieć moich złości,
Nie daj mię w pośmiech głupiemu
Człowiekowi nikczemnemu.

Nieprzyjaciel mię strofował,
A jam język swój hamował
Wiedząc, że to złorzeczenie
Było Twoje nawiedzenie.

Zdejmi ze mnie plagi swoje,
Bo prze ciężkie razy Twoje
Wszytka moc i wszytki siły
Zgoła mię już opuściły.

Kogo prze grzech zafrasujesz,
Tak go niewidomie psujesz,
Jako szatę mól tajemny;
Błąd jest człowiek, błąd nikczemny.

Skłoń łaskawe uszy swoje
Na płaczliwe prośby moje,
Przychodzieńcem ja na ziemi
Ze wszytkiemi przodki swemi.

Sfolguj, a daj się ochłodzić,
Póki nie przyjdzie wychodzić
Na drogę, z której człowieka
Już nie ujźrzeć aż do wieka.

XL.
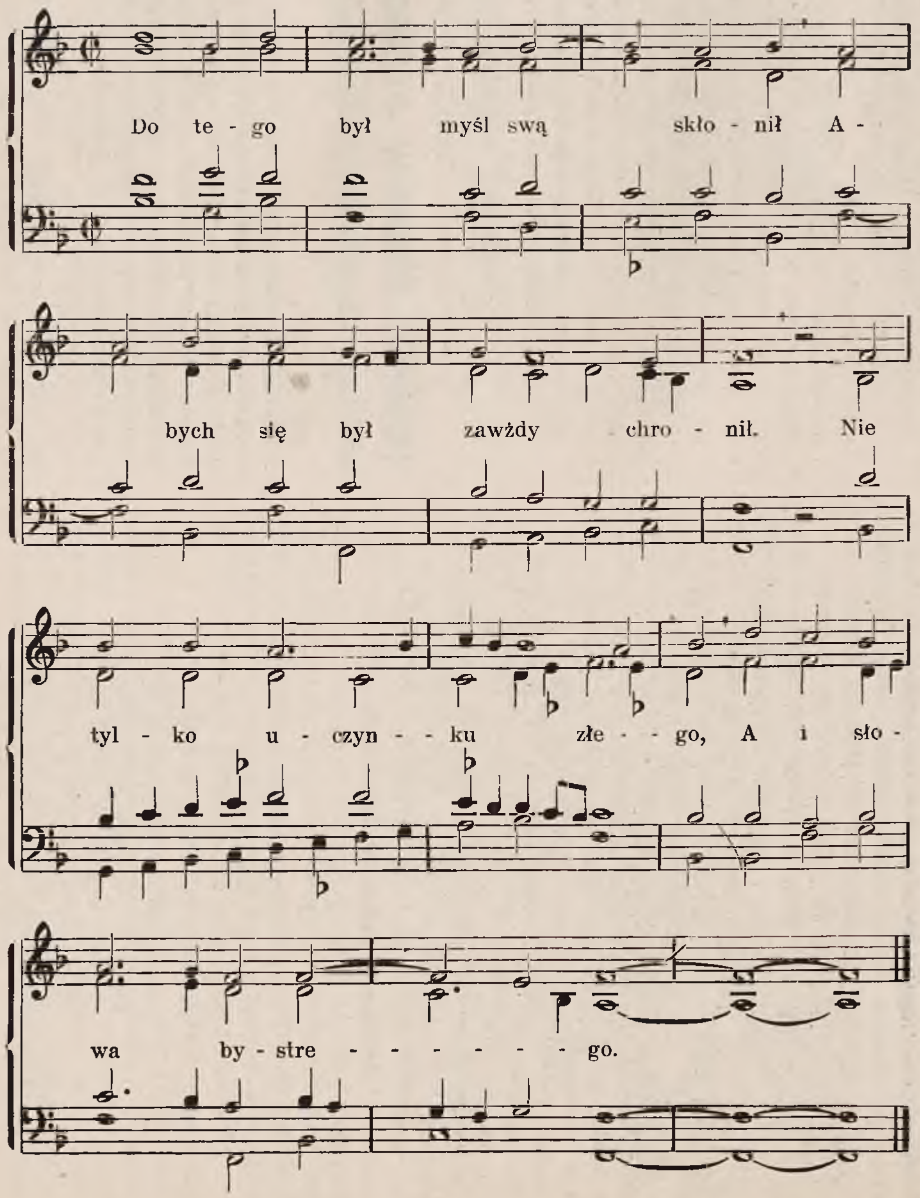
Expectans expectavi Dominum.

Czekałem z cierpliwością, a Pan mię obaczył
I prośby moje wysłuchać raczył,
Wywiódł mię mocą swojej zwycięźnej prawice
Z błot nieprzebytych i z trzęsawice,
Nogi moje na twardej opoce postawił
I drogę, gdziem miał chodzić, objawił;
Tenże i ku śpiewaniu usta me sposobił,
Żem nowym rymem moc Jego zdobił.
Niechaj się na mnie Pańskim sądom przypatrują,
Którzy fortunie rząd przypisują
Wszytkich na świecie rzeczy, muszą sobą trworzyć
I swe nadzieje w Panu położyć.
Błogosławiony człowiek i fortuny żywie,
Który ma ufność w Panu prawdziwie,
Że ani oka swego skłoni za hardemi,
Ani się udał za wszetecznemi.
Siła, wszechmocny Panie! Twych dziwów od wieku
I znaków chęci przeciw człowieku,
Myśl nie ogarnie, język nie wymówi tego,
Nie masz, o Panie! Tobie równego.
Ofiar za grzech nie pragniesz, toś mi włożył w uszy,
Że cię ofiara żadna nie ruszy;
A jam rzekł: Oto idę i jestem gotowy,
Jako brzmi pismo jasnemi słowy,
Woli Twej dosyć czynić, Boże nieprzeżyty!
Twój zakon w mojem sercu jest ryty,
Opowiadałem światu sprawiedliwość Twoję
I dziś nie milczę, sam znasz chęć moję.
Nie kryłem w sercu swojem Twej sprawiedliwości,
Sławiłem prawdę i Twe litości,
Jawne jest na wszytek świat miłosierdzie Twoje,
Jawna i prawda przez usta moje;
Nie racz że mię opuszczać, o mój Boże wieczny!
Bądźże mym stróżem w dzień niebezpieczny.
Męki mię, których liczby nie masz, ogarnęły,
Troski mię, których nie przejźrzeć, zjęły,
Ledwie tak wiele włosów na głowie najduję,
Prosto i serca w sobie nie czuję.
Raczże mię, mocny Panie! z łaski swej pocieszyć,
A ku ramieniu memu pospieszyć,
Niechaj hańbę odniosą, niech się zapalają,
Którzy upadku mego szukają,
Niech idą wspak ich rady, niech się jawnie wstydzą,
Którzy nieszczęście me radzi widzą;
Bodaj za moję wzgardę obelżenie mieli,
Którzy mi mówią: Tegośmy chcieli.
A cnotliwi bodaj dni dobrych używali
I zawżdy Pańską moc wyznawali.
Jaciem żebrak ubogi, prawie cień człowieczy,
Ale mię jednak Pan ma na pieczy.
Tyś obrona i zdrowie, Panie dusze mojej,
Nie odwłócz proszę pomocy swojej.

Psalmy Mikołaja Gomółki, — w opracowaniu Dra J. Reissa. (Ciąg dalszy).

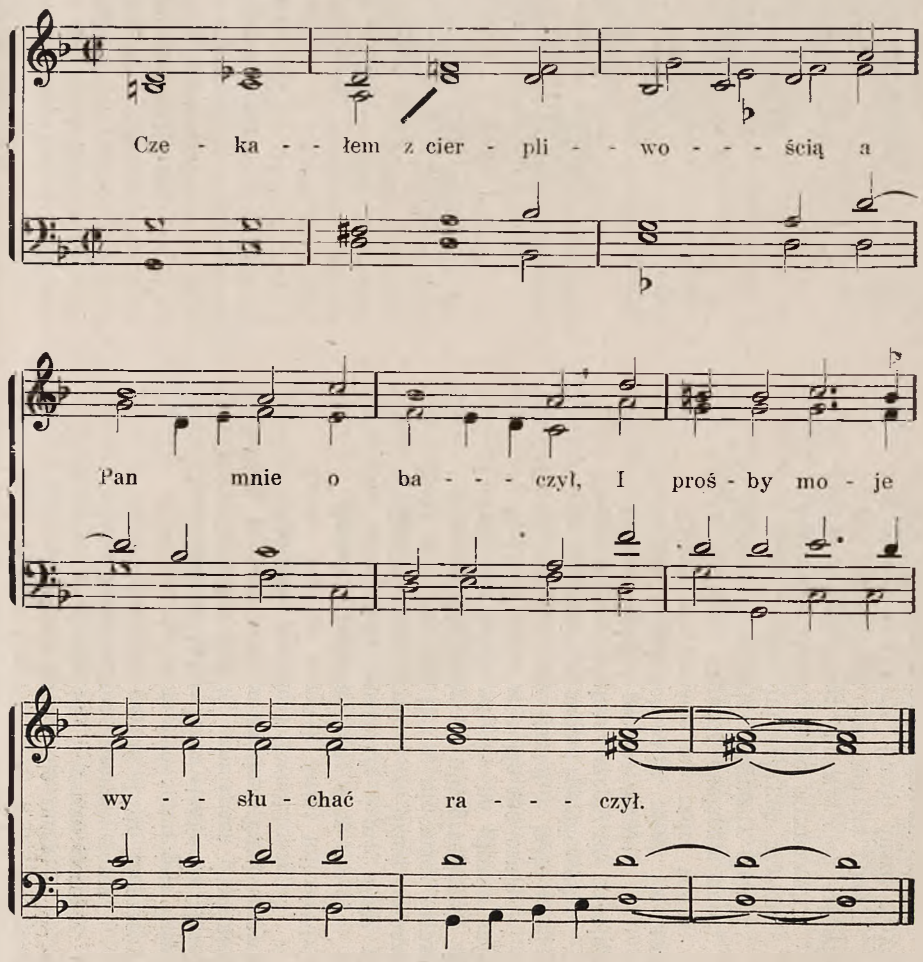
PSALM XXXIX.

Dixi, custodiam vias meas.



PSALM XL.

Expectans expectavi Dominum.



HENRYK GRALSKI.

Bilans teraźniejszej muzykalności.

III. Wiedeń.

„Wiener Musik" to nie tylko stuletnia tradycja, ale i program o jedynem w światowej literaturze muzykalnej nacechowaniu. Walczyk i operetka to nie tylko przypadkowy wytwór Wiednia, lecz alchemiczny produkt najrozmaitszych temperamentów i narodowości w tym to tysiącletnim kotle starocesarskiego grodu. Bach, Heyden, Mozart, Schubert, Bethoven, Bruckner, Mahler, Weingartner, aż do obecnej ery Ryszarda Strausa jeszcze nie mieści w swym korowodzie całej plejady Offenbachów i Nestroyów, a przedewszystkiem nie tych dwóch królów i lekkiej muzyki wiedeńskiej, o których „weanerisch" śpiewają: „der Strauss und der Lanner dass warn zwa feste Banner". Cóż dopiero powiedzieć o Leharze, Fallu, Stolzu, którzy wraz z całą plejadą fabrykantów wiedeńskiej muzyki, regularnie rok co roku rzucają na targ muzyczny swą coraz lichszą tandetę operetkową. A przecież i w nich tkwi owo jądro tej jedynej na świecie lekkiej, łagodnej i rytmicznej muzyki wiedeńskiej, w której jakby eklektycznie wszystkie dawniejsze narody Austrji ucieleśniły swą tęsknotę do życia i wesołości codziennej.

Po wojnie światowej nastąpiły, jak wiadomo, dla Wiednia złe czasy. Ten dwumiljonowy Wiedeń został odcięty od swego słowiańsko-madziarskiego „hinterlandu" i któż teraz miał odwiedzać te liczne teatry i teatrzyki, począwszy od Hoff-opery, a skończywszy na „Ronacherze". Obecnie mała i biedna Austrja, oddana na łaskę i niełaskę swych zwycięzców, nie mogła w żadnej mierze utrzymać nadal tak olbrzymi i kosztowny aparat, jakim była przedewszystkiem opera dworska. Oto artyści i soliści tej to światowej sławy opery wiedeńskiej zaczęli ratować się na własną rękę. Skończyło się to katastrofalnem fiaskiem wyjazdu do Argentyny, gdzie nasz. np. Lalewicz bardzo dobrze prosperuje. Tymczasem wybuchły w łonie samego zespołu najrozmaitsze niesnaski. Po zgonie olbrzyma Mahlera nie było już w gronie opery tak silnego charakteru jak on, któremu pod tym względem ani Weingartner ani Ryszard Strauss nie dorównują. Ten ostatni doprowadził swą ambicją osobistą do najrozmaitszych scysyj, które w ostateczności doprowadziły do jego rezygnacji, a batutę objął w dość silną dłoń dyrektor Schalk i to nie tylko jako dyrektor opery, ale i wszechświatowej sławy symfonji wiedeńskiej.

Otóż pod kierownictwem Schalka zanotowano w lutym b. r. następujące dwa „skandale" teatralne: jeden z powodu wystąpienia Korngolda, dawnego „cudownego dziecka", który podobno przyczynił się do ustąpienia Ryszarda Straussa, a drugie bardzo ciekawe zajście miało miejsce w dniu 14 lutego b. r. podczas reprodukcji atonalnej symfonji Strawińskiego p. t. „Le sacre du printemps". O Strawińskim mówiłem już w bilansie paryskim; zajście zaś, które miało miejsce podczas wystawienia jego sztuki, jest istotnie tak pocieszne i oryginalne, że warto je bliżej przedstawić. Otóż już podczas generalnej próby tej to futurystycznej symfonji było do przewidzenia, że publiczność będzie się buntować, że muzykalna publiczność wiedeńska nie pozwoli na tego rodzaju „kpiny". Mimo to Schalk z całym spokojem, przystąpił w oznaczonym dniu, przy pełnym składzie orkiestry do swego dzieła i dyrygował przez całe dwie godziny wśród niesłychanych wybryków ze strony słuchającej publiczności. Podczas tego „koncertu" działy się rzeczy niebywałe: łamanie krzeseł, ryczenia, wkroczyła na salę policja, aby wstrzymać publiczność od osobistego atakowania orkiestry; jednak nic nie pomogło: Schalk dyrygował spokojnie dalej, a orkiestra odtwarzała z najzimniejszą krwią trudne, kakofoniczne Strawinizmy, jak to Wiedeń nazywa. Gdy skończyli symfonję, Schalk zwrócił się do „szanownej publiczności" i... podziękował jej za świetny współudział, ponieważ jak wyjaśnił, leżało w intencji kompozytora, aby publiczność w taki, a nie inny sposób współdziałała w jego symfonji i „przyznaję", mówił, że wiedeńska publiczność zadość uczyniła wymogom tej to trudnej partytury.

Pod zupełnie innym względem stała się ważną premiera alegorji pantomimicznej znanego kompozytora, autora opery „Evangeliemann", i „Kuhreigen" Wilhelma Kinzla p. t. „Sanctissimum". Jest to bardzo twórcze powtórne wprowadzenie w literaturę operową tego rodzaju sztuk pantomimicznych jak „Piękna Galatea", jak „Masseneta", Kuglarz Najśw. Panny i t. d. Cała akcja odnosi się do wewnętrznych przeżyć grajka, który przez bluźniercze wygrywanie przed motłochem ulicznych piosenek w skandalicznym $^3/_8$ takcie skalał swą duszę, chociaż uczynił to, aby ratować swe dziatki przed śmiercią głodową, ale przez skruchę uwieńczoną dobrowolną śmiercią zyskuje sobie ponowną łaskę kamiennych świętych na portalu kościoła, którzy zstępują ku niemu, błogosławiąc go; a gdy już umierał, występują najrozmaitsze ucieleśnione siły przyrody i kołyszą go w sen wieczny tańcem o najświętszych cechach rytmu i melodyki „Sanctissimum"!

Pod względem tonalnym jest to, jak ogólnie twierdzą, najlepsze dzieło Kinzla, chociaż nie przekracza godziny gry. Wartałoby więc tę sztukę wystawić też na scenach polskich.

HENRYK GRALSKI.

Zagadnienia mańkuctwa

a leworęczna technika gry.

Problem mańkuctwa przybrał w ostatnich czasach potrójne oblicze. Nie interesuje on li tylko jako zjawisko antropologiczno-kulturalne, ale i jako problem hygieny społecznej, albowiem pokazało się, że człowiek oburęcznie kształcony staje się więcej wartościowym. Już z tego względu należy ten problem badać przedewszystkiem w dziedzinie techniki gry muzycznej. Jest to nareszcie też problem natury „metapsychicznej", o czem na tem miejscu dalej wywodzić nie można; wystarczy, jeżeli wyjaśnię moje i innych spostrzeżenia w tym kierunku, że pismo „medjalne" jest niczem innem, jak pismem leworęcznem, a pismo leworęczne jest niczem innem, jak pismem dziecięcem. Oto mamy trzeci problem, problem, w istocie rzeczy, pedagogiczny, który znowu, jako taki, musi interesować szczególnie muzykologów. Mam tu na myśli najnowszą twórczość Ryszarda Straussa, który dla Paula Wittgensteina, słynnego już przed wojną pianisty, ale obecnie wojennego inwalidy o tylko lewej ręce, napisał specjalny „Pareggon do symfonji domestica", pisany wyłącznie dla lewej ręki, tak samo, jak to już czyniono dla słynnego jednoręcznego hr Zichy'ego. W każdym razie należy więc przyglądnąć się bliżej całej istocie stosunku lewej i prawej ręki.

Posiadamy dwie ręce: prawą i lewą, które pozornie są sobie podobne, tak pod względem wielkości, jak i ukształtowania, a jednak tylko jedna z nich, prawa, jest odpowiednio wyrobioną. Przyzwyczajeni jesteśmy w życiu codziennem do posługiwania się prawie wyłącznie ręką prawą,

a lewą traktujemy po macoszemu i czynimy ją poniekąd służebną swej siostry. Tylko w wyjątkowych wypadkach, gdy już inaczej nie można, odzyskuje Kopciuszek-lewa ręka swe uzasadnione równouprawnienie.

Trzeba przedewszystkiem podkreślić, że prawa ręka nie jest wcale zasadniczo zdolniejszą, niżeli lewa. Widzimy to tak w życiu codziennem, jak i na przykładach słynnych ludzi. Np. Holbein, Michał Anioł, Leonardo da Vinci, Adolf Menzel — to wszystko malarze-mańkuci, a jednak artyści światowej sławy. Z drugiej zaś strony jest bardzo zastanowienia godnem, dlaczego niema na świecie narodu, w którymby, naodwrót, faworytowano lewą rękę. Wszędzie prawa ręka jest prawie wyłącznem narzędziem pracy.

To dziwne zjawisko zajmuje już od 2000 lat umysły uczonych, lekarzy i filozofów, którzy nie bez przyczyny domyślają się w tem zjawisku jakichś tajemniczych, a w każdym razie jeszcze niezbadanych związków z ogólnem przeznaczeniem i losem ludzkości.

Przeciętnie biorąc, 98% ludzkości należy do ludzi normalnych, posługujących się ręką prawą. Ta statystyka jest jednak o tyle niedokładną, a nawet wręcz fałszywą, ponieważ zupełnie nie wiemy, ilu tu ludzi tylko wskutek przymusu szkolnego, a nawet gwałcenia od najmłodszych lat dzieciństwa, krzywdzi swą ulubioną rękę lewą. Takich to ludzi nietrudno poznać po tem, że w chwilach nieobserwowanych automatycznie chwytają przedmioty, nawlekają nić na igłę, wyciągają gwoździe i t. p. lewą ręką. Są uczeni, którzy tym sposobem obliczają mańkutów na 28% w tem tego słowa znaczeniu. W każdym razie większość ludzkości obstaje przy prawej ręce. Odnosi się to nietylko do ludzkości dzisiejszej, ale i dawniejszej, jak jednomyślnie donoszą starożytni pisarze. O ile idzie o ludy dzikie, to badania pod tym względem nie dały jeszcze do dziś jednomyślnych wyników, lub wogóle jeszcze nie zostały podjęte.

Sławny podróżnik prof. Wilson Johnstone badał pod tym względem indyjską ludność Pandszabu i stwierdził tam charakterystyczny procent 70 mańkutów. U innych natomiast dzikich ludów sama mowa ich wskazuje już na to, że prawa ręka jest u nich dominującą. Lingwiści wskazują na charakterystyczne znaczenie u rozmaitych narodów liczb 5 i 10, w tym sensie, że wyraz „pięć“ pochodzi etymologicznie z tego samego źródła, co wyraz „lewa“, a wyraz „dziesięć“ co wyraz „prawa“. Pochodzi to naturalnie stąd, że u narodów, posługujących się ręką prawą, rozpoczyna się liczenie od 1 na ręce lewej. Tubylcy wysp Samuańskich nazywają rękę lewą „lima woad“, t. zn. ręka, która chwyta niedołężnie. Indjański szczep Chippeway daje prawej ręce przydomek „wielkiej“, zaś lewej ręki, która nic nie umie (zob. Dr Alsberg: „Rechtshandigkeit und Linkshandigkeit“, Hamburg, 1894).

W całości można stwierdzić, że u narodów prymitywnych lewa ręka występuje częściej, niżeli u narodów kulturalnych. Czy odnosi się to również do historycznego rozwoju ludzkości, trudno rozstrzygnąć. Dawniej przypuszczano, że u Egipcjan starożytnych mańkuctwo było rzeczą codzienną. Do tego mniemania przyczyniła się znana rzeźba egipska „Pisarza“, mańkuta. Inni egyptolodzy jednak przypisują to zjawisko przyczynom czysto architektonicznym i dekoracyjnym, albowiem współczesne im narody, jak Żydzi, wykazują zupełnie niewątpliwie praworęczność. Mańkuctwo występuje w biblji jako osobliwy stan. Tak np. nadmienia Pismo Starego Testamentu, że Ehud wyciągał ręką lewą miecz, zwieszający u prawego boku i wbijał go Eglonowi, tłustemu królowi Moabotów, w brzuch (Sędziowie III/15/21). Dalej opowiadają księgi Sędziów (20/16), że w rodzie Benjamina, który liczył 27.000 mężczyzn, było 700, „którzy umieli strzelać z procy lewą ręką i trafiać na włos“. Jest to więc prawie ten sam procent mańkutów, jak i w obecnych czasach. Że Rzymianie i Grecy również nie byli mańkutami, wynika już z samej nazwy prawej i lewej ręki; prawa ręka nazywa się „dextra“, co oznacza także „zręczna“, lewa nazywa się „sinistra“, co oznacza także „niezręczna, nieszczęśliwa“.

Można się przesunąć jeszcze dalej wstecz, w czasy prahistoryczne, z których to czasów pochodzą owe dziwne rysunki jaskiniowe i rzeźby kostne. Otóż na wszystkich tych rysunkach występuje profil w stronę lewą, z punktu patrzenia widza, co naturalnie tylko wtedy jest możliwe, jeżeli rysuje się ręką prawą, jak to zresztą można obserwować u dzieci i ludzi prymitywnych.

Pełne kształty człowieka, które pozwoliłyby wnioskować o znaczeniu jego ruchów odnośnie do prawej i lewej ręki, wykazuje ilustracja obok zamieszczona. Widzimy tam wyraźnie podniesioną prawą rękę, trzymającą kij. Dalszych dowodów praworęczności naszych praojców dostarczają odkopane narzędzia, których rozmiary obliczone są, według zdania najlepszych znawców, na trzymanie ich ręką prawą. Wprawdzie posługiwano się przy ich wyrobie i ręką lewą, jak na to wskazują uczeni Brington i Cunnigham, lecz są to tylko przypuszczenia.

Nareszcie stwierdzono nawet w wykopaliskach, że prawe ramię szkieletów przedhistorycznych jest znacznie cięższe od lewego, jak to bywa i u nowoczesnego człowieka, co wszystko wskazuje na to, że nawet najstarsi reprezentanci ludzkości nie byli mańkutami.

Wobec tego warto zastanowić się nad tem, czy przypadkowo u zwierząt nie występuje coś podobnego jak skłonność ku jednostronnemu używaniu członków prawych. Zastanawiali się otóż nad tą kwestją już tacy starożytni uczeni, jak Plinius i Arystoteles, ale ponieważ badali tę kwestję tylko powierzchownie, odpowiedzieli w sensie pozytywnym. Jeżeli jednak przypatrzymy się bliżej tej kwestji, to łatwo znajdziemy, że tylko w bardzo ograniczonej liczbie zwierząt może być mowa o „ręczności“ wogóle. Nawet u tych zwierząt, u których występuje specjalna budowa kończyn, dostosowana do chwytania, to i tam nie dominuje ani prawa, ani lewa kończyna tak wyłącznie, jak u człowieka normalnego lub mańkuta.

Stwierdzono natomiast coś innego, niemniej ważnego. Guldenberg stwierdził mianowicie, że zwierzęta w podobny sposób, jak zresztą i ludzie, często forsują jedną część ciała silniej, niżeli drugą i że objawia się to nietylko jako jednostronne używanie kończyn i pochylanie ciała w prawą lub lewą stronę, lecz również jako „stronniczość“ w samym biegu, tak dalece, że po pewnym czasie biegania zwierzę samo wraca do miejsca, z którego wyszło. Działa tu może pewnego rodzaju instynkt samozachowawczy, obserwowany także u ludzi znajdujący się w pustyniach i prerjach który wtedy kręcą się w błędnem kole i u ludzi ta stronniczość występuje przeważnie w kierunku prawym, u zwierząt natomiast stwierdzono stronniczość prawą i lewą.

Nie bez przyczyny prawie we wszystkich państwach cywilizowanych odbywa się cały ruch uliczny stroną prawą. Tak samo każdy wie, że w piłce nożnej posługują się najwybitniejsi gracze nogą prawą, a mimo to nie prawa, lecz lewa noga jest silniejszą, o czem wie każdy szewc; w każdym razie zaś noga prawa jest zręczniejszą. Ona to jakby kieruje nogą lewą i zwala na nią większy wysiłek fizyczny.

Jednak nawet w mimice można skonstatować, że prawa część twarzy łatwiej wykonuje grymasy, niż lewa, a każdy fotograf wie, że profil prawostronny jest bardziej charakterystyczny, niżeli lewy, tak dalece, że dwie lewe połowy twarzy, złożone w całość, dają obraz tępy i nieinteligentny. Nareszcie i o całej ręce można to samo powiedzieć. Jest ona silniejszą i większą, gdyż jest więcej zainteresowaną nietylko fizycznie, ale i psychicznie. Bierolit udowodnił eksperymentem, że sens dotyku jest w prawej ręce znacznie większy, niżeli w lewej, a widzimy to w życiu codziennem na przykładzie tym, że waży się przedmioty w ręce zawsze ręką prawą, a nie lewą. Nawet ucho prawe jest wrażliwsze, niżeli lewe.

Tej to zasadniczo prawostronnej orjentacji całej budowy ciała ludzkiego odpowiada rozwój kultury materjalnej, zastosowanej do tej prawostronności człowieka, począwszy od narzędzi, a skończywszy na urządzeniach mieszkaniowych.

Sarafin badał szereg narzędzi z epoki kamiennej pod tym względem, czy były użytkowane prawą czy lewą ręką, wnioskując to ze śladów zużytkowania. Okazało się jednak, że wtedy istniało używanie prawą i lewą ręką równocześnie. Ale już narzędzia epoki brązowej wykazują przewagę używania ręki prawej (zob Umschau 1925, z. 25).

Nie należy pominąć, że to jednostronne forsowanie prawej części ciała połączone jest z pewnemi niedomaganiami czysto fizjologicznemi, przedewszystkiem zwłaszcza u dzieci uwydatniającem się wykrzywieniem kręgosłupa, t. zw. scoliozy. Oprócz tego doprowadza nasza kultura do coraz większego zaniedbania tej to lewej ręki.

A przecież oddawna wiadomo, że i lewą rękę można systematycznie ćwiczyć i od zaniedbania systematycznego uchronić, a to nietylko dla dobra jednostki, ale i całego społeczeństwa. Benjamin Franklin na przykład każe skarżyć się lewej ręce w następujący sposób: „jesteśmy dwie siostry, jak oczy człowieka, niemniej podobne do siebie i niemniej zgodne, ale stronniczość naszych rodziców otworzyła przepaść między nami i nakazała lewej być służącą prawej Ja, lewa ręka, pozostaję od najmłodszego wieku bez nauki, ani pisać ani rysować mię nie uczono, a gdy przypadkiem dopadłam igły lub ołówka, karano mię srogo, bo chciano abym pozostała niedołężną“.

Przed wojną rozpoczęto w rozmaitych krajach starania w kierunku „dwuręcznej kultury“. Działacze w tym kierunku natrafiają jednak na opór ze strony „konserwatystów“, którym tego rodzaju wysiłki zdają się być zbyteczne lub igraszką. Warto więc przytoczyć badania Baldwina ze swoją siedmioletnią córką, aby wykazać, że nie chodzi tu o coś nienaturalnego lub przeciążenie młodzieży, lecz o sztuczne zwyrodnienie lewej ręki. Stwierdził on, że do siódmego miesiąca życia nie można było udowodnić faworytowania jednej ręki kosztem drugiej; później przypada coraz więcej chwytów na prawą rękę, w chwilach podniecenia 9% na 100. W każdym razie widać z tego, że praworęczność jest poniekąd wrodzoną, ale dopiero przymus wychowania czyni tę jednostronność wyłączną. Właśnie Baldwin osiągnął, bez większych wysiłków, w normalnem wychowaniu, wysokie wyrobienie lewej ręki u swej córki, z czego wynika, że praworęczność jest wrodzoną, ale nie w tej mierze, jak obecnie bywa.

W naukowy sposób uwydatnił całą sprawę praworęczności francuski lekarz Broca w 1861, stwierdzając epokalnem odkryciem, że zdolność mówienia u ludzi praworęcznych „lokalizowaną“ jest w lewej półkuli mózgu. Doświadczenia chirurgiczne potwierdzają to odkrycie, mianowicie, że człowiek traci zdolność mówienia tylko wtedy, gdy lewa strona mózgu jest uszkodzoną. Przy uszkodzeniu tych to zwojów mózgowych ginie pewnego rodzaju pamięć dźwiękowo-pojęciowa, z którą jest połączona pewna pamięć kojarzeń słowa z pewnemi odruchami ręki. W roku 1874 odkrył Wernicke, że ta pamięć słowno-dźwiękowa jest lokalizowaną w całkiem określonem miejscu pewnego lewostronnego zwoju mózgowego.

Dalsze badania Liepmanna, a nareszcie Amerykanina Thomsona wykazały, krótko powiedziawszy, że mowa, zrozumienie, czytanie i pisanie posiadają swe ośrodki wyłącznie w lewej stronie półkuli mózgowej. Stwierdzono jednak jeszcze ważniejszy fakt, mianowicie, że nietylko prawa strona ciała wraz z prawą ręką jest uzależnioną od lewej hemisfery, ale i lewa ręka; natomiast prawa hemisferja kieruje tylko niektóremi czynnościami lewej strony ciała. Istnieje więc wprawdzie silna wzajemność pomiędzy prawą i lewą częścią mózgu, ale lewa góruje w każdym razie.

Przyczyną tego wszystkiego nie jest jednak fizjologiczna nieudolność prawej części mózgownicy, lecz jednostronne faworytowanie prawej ręki. Liepmann stwierdził niezbicie, że u ludzi pielęgnujących prawą i lewą rękę równocześnie, ta ogólnie zaniedbana prawa część mózgownicy wykazuje wyższe zdolności, wskutek czego też i cały poziom intelektualny danego człowieka jest wyższy. Jest nawet udowodnionem, że ludzie sparaliżowani prawostronnie odzyskują moc mowy przez specjalne ćwiczenie lewej ręki. Trzeba to tak zrozumieć, że okrężną drogą mówienia uruchomia się lokalizacja czytania, zrozumienia i mowy. Z tego punktu widzenia posiada oburęczna kultura nadzwyczajne znaczenie pedagogiczne.

Otóż propaguje się w Ameryce, Anglji i Niemczech (Manfred Frankel) namiętnie potrzebę szkolenia dzieci w kierunku nietylko jednostronnie prawym, ale i lewym. W Królewcu istnieje specjalna szkoła, w której szkoli się dzieci w ten sposób, a rezultaty są nadzwyczajne.

Wobec wszystkiego powyższego niema dwóch zdań, że sama gra na fortepianie, przedewszystkiem na instrumentach smyczkowych, posiada niezmierną nietylko muzykalno-pedagogiczną doniosłość, ale właśnie ogólnokulturalną, ponieważ jedynie w dziedzinie techniki gry muzykalnej ta nasza upośledzona lewa ręka otrzymuje możliwość rozwijania się przy równoczesnem wymaganiu od niej nawet większych wysiłków, niżeli od ręki prawej, co więc w nadzwyczaj szczęśliwy sposób rekompensuje krzywdę, wyrządzoną tak ręce, jak i całemu rozwojowi człowieka.

H. GRALSKI.

Co to jest radio?

Nareszcie doczekaliśmy się w Polsce ustawy radiotelefonicznej, która nam pozwoli korzystać z tego podruku i parze najważniejszego wynalazku ludzkości, z telefonji bez drutu. Korzystać jednak z tej nadzwyczajnej zdobyczy ludzkości mogą tylko ci, którzy zapoznają się z niezbyt łatwymi tajnikami najnowszej fizyki i teorji elektryczności. Nie może korzystać z książek kto się czytać nie nauczył, nie dojedzie do Paryża koleją, kto boi się trudu badania rozkładu jazdy etc. Naodwrót jednak trzeba stwierdzić, że przeważna ilość książek i odczytów o radiotelefonji nie liczy się z istotnym brakiem elementarnych wiadomości, nawet u inteligencji, o najnowszych zdobyczach fizyki i elektryczności. Fachowcy boją się pisać popularnie, aby nie obniżyć poziomu swej fachowości, a niefachowcy nie znają dostatecznie podstaw radjotechniki. Co to jest ra-

djo? W popularny sposób możnaby to tłumaczyć przystępnie, jednak niezbyt ściśle, następująco: Proszę sobie wyobrazić dużą salę, przeszytą niezmierną ilością nitek, łączących wszystkie ściany sali z jednym punktem krzyżowania tych nitek na sali. Dalej proszę sobie wyobrazić, że takich punktów krzyżowania jest niezmierna ilość w ten sposób, że każda nitka przechodzi przez każde krzyżowanie. Jest ogólnie znanem, że jeżeli uderzymy palcem naprężoną nitkę, np. strunę na instrumencie smyczkowym, to ta zacznie falować tak samo jak woda, w którą rzucimy kamień toczy dokoła siebie koła, mimo że sama woda falująca z miejsca się nie rusza.

Taką olbrzymią salą jest wszechświat, który napełniony jest niezbadaną jeszcze materją zwaną eterem. W tym to eterze powstają z nieznanych nam przyczyn wiry, które można porównać z naszem krzyżowaniem się nitek w sali lub z falami spowodowanemi poruszeniem wody, ale nietylko w jednem miejscu i nietylko w jednej płaszczyźnie, lecz jak nasze nitki, na wszystkie strony się rozchodzące. Najnowsze badania elektryczności wykazują, że w tych wirach eteru tkwi początek wszelkiej materji i energji. Wyobraźmy sobie dalej, że do tej dużej sali dostanie się ktoś i umyślnie uderza w jedno z licznych tam krzyżowań nitek; Wtedy poruszą się wężykowatym ruchem wszystkie nitki dokoła niego, a ponieważ każda nitka jest ze wszystkiemi połączoną, przedostanie się chociażby słaby odblask tego falowania nawet w najdalsze kąty sali, a będzie to przecież wszędzie tylko tym samym rodzajem fali, chociaż siłą odmienną. Jeżeli więc takie uderzenia w siatkę nitek ułożone zostaną w pewien klucz, to z rodzaju drgania tych nitek można tłumaczyć sobie i odebrać w każdem miejscu sali ich treść i pochodzenie. Oprócz tego można równocześnie w rozmaitych miejscach siatki rozmaicie uderzać, ponieważ takie fale przechodzą jedna przez drugą i nie przeszkadzają sobie, o ile nie są tego samego rodzaju, tak samo, jak na fortepianie, można uderzać całe akordy, ale nie można równocześnie jednego tonu podwójnie uderzać na tym samym fortepianie.

Taką salą, powtarzam, jest wszechświat, napełniony eterem, znajdującym się w stałej wibracji, więc pełen węzełków i krzyżowań się swoich fal. Jeżeli uderzymy jedną z takich fal w sposób specjalny iskrą elektryczną, którą wydobyliśmy wpierw z tego samego eteru, to ta iskra elektryczna wywoła nowe i specyficzne drganie eteru, który, jak mówiliśmy, idzie we wszystkie strony i z siły każdej nadchodzącej fali można wnioskować o jakości i znaczeniu zasadniczego wywołania tej fali. Bierzemy np. do ręki telefon: mówiąc do słuchawki, powodujemy niewidoczny ruch maleńkiej blaszki w słuchawce, która, przez zbliżanie i oddalanie się od magnesu za nią ustawionego, powoduje w nim (z niewiadomych do dziś przyczyn) t. zw. prądy indukcyjne, prądy te przelatują przez drut i powodują w drugiej słuchawce ten sam ruch blaszki, która wskutek tego „mówi“. Gdybyśmy zmienili ten prąd indukcyjny w elektryczność w formie iskry (radiotelefonja inaczej postępuje), to iskry te przeszłyby w świat tak samo, jak dzisiejsze iskry radiotelefoniczne, nic więc dziwnego, że te iskry wszędzie wyłowić można, jeżeli posiada się dostatecznie czuły aparat, które te t. zw. falowania elektromagnetyczne nie tylko notują, ale i potęgują. Oto cała zagadka radiotelefonji i koncertów „bez drutu“.

Muzyka stanie się dopiero wtedy popularną i przystępną dla szerokich mas, gdy zwróci się do najlżejszego zmysłu ludzkiego: do oka, jeżeli zostanie dosłownie, przeniesioną na ekran filmowy. **H. G.**

Literatura muzyczna.

„PRZEGLĄD MUZYCZNY“, Nr. 4. zawiera następującą treść: H. Opieński. Nieznane świeckie pieśni z XVI wieku. Dr. Adolf Chybiński (Lwów) Mazurek Redivivus. — Dr. Aleksander Poliński. Lutnia Warszawska wobec popisów śpiewaków niemieckich w Wiedniu. — Kronika: Życie muzyczne Krakowa. — Łódź. Przegląd ruchu i dorobku muzycznego. — Wiadomości bieżące. — Kronika chóralna. Pisma. — Nowe wydawnictwa. — Zjednoczenie polskich Związków. Odezwa.

„PRZEGLĄD MUZYCZNY“ Nr. 5 zawiera następującą treść: K. B. Jirák. — Henryk Opieński. Wizyta polskiego muzyka w Pradze czeskiej w roku 1844. — K. B. Jirák. Listy z Pragi. — Lutnia Warszawska wobec popisów śpiewaków niemieckich w Wiedniu. Korespondencja Aleksandra Polińskiego z 1890 roku (dok.). — Kronika: Warszawa. Jubileuszowy koncert Stanisława Barcewicza. Lwów. Sezon operowy. Przegląd koncertów. — Wiadomości bieżące. Kronika chóralna. — Pisma. — Zjednoczenie polskich Związków Śpiewaczych. — Wspomnienie pośmiertlne.

„MUZYKA“. — Nr. 2-gi miesięcznika, wydawanego pod redakcją Mateusza Glińskiego, przynosi nadzwyczaj interesującą treść, złożoną z następujących artykułów: Mateusz Gliński: Stanisław Barcewicz. — Felicjan Szopski: Smutne refleksje. — St. Niewiadomski: Stanisław Moniuszko. — Adolf Chyliński: Mazurki K. Szymanowskiego. Egon Wellesz: Uwagi o współczesnej twórczości muzycznej. Impresje muzyczne. — Z opery i sal koncertowych większych środowisk europejskich. — Trybuna artystów. — Nowe wydawnictwa. — Przegląd prasy. — Kronika. Z międzynarodowego Tow. muzyki współczesnej. — Rozmaitości. — Do Nru tego dołącza redakcja „Ilustrowaną kronikę muzyczną“ Nr. 2 i „Karykatury muzyczne“ Nr. 1.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Kapucyńska L. 13.

„MIESIĘCZNIK DLA ORGANISTÓW“. Nr. 1—3., organ Związku Organistów Archidiecezji Gnieźnieńsko-Poznańskiej. — Wychodzi na początku każdego miesiąca. Redakcja i administracja: Poznań, św. Marcin, Nr. 7—8. Cena numeru pojedynczego 50 groszy, członkowie otrzymują miesięcznik bezpłatnie.

Jakie zadanie i cel mieć będzie wspomniany wyżej miesięcznik wystarczy przytoczyć nam z Nru 1—3, odezwę, wystosowaną przez Zarząd Związku Organistów Archidjecezji Gnieźnieńsko-Poznańskiej, która w dosłownem brzmieniu przedstawia się następująco:

Koledzy!

„Ufni w własną siłę i szczere poparcie tych ludzi, którym rozwój i dobro muzyki kościelnej leży na sercu, wznawiamy od dawna już zaczętą, a w ostatnim czasie znów przerwaną pracę, przy pomocy tej skromnej gazetki.

Z szczerem uznaniem i szacunkiem odnosimy się do naszych poprzednich krzewicieli tej idei, którą i my pragniemy nadal szerzyć a przerwanej trudnościami przeżytych warunków, i po części także obojętnością nas samych.

Chcąc, aby ta ku chwale Bożej szlachetna praca nie zamarła, Organiści-delegaci Archidjecezji Gnieźnieńsko-Poznańskiej zebrani dnia 12-go lutego b. r. w Poznaniu, jednogłośnie postanowili szerzyć zasady „Motu proprio“ w myśl rozporządzenia Papieża Piusa X. tworząc niezależny Związek Organistów Archidjecezji Gnieźnieńsko-Poznańskiej z własnym organem, któremu swą współpracę łaskawie przyrzekli tak wybitni znawcy muzyki kościelnej, jak ks. dr. Gieburowski, p. prof. F. Nowowiejski, p. J. Pawlak i in.

Pisemko to na razie w bardzo skromnej szacie poświęcone głównie organizacji, będziemy się starać z czasem rozszerzyć w kierunku naukowym, licząc oczywiście na szczere poparcie kolegów i ludzi oddanych szczerze muzyce kościelnej.

Każdy z was który-by się do tej zbożnej pracy odnosił obojętnie lub z nieufnością, niech wie, że opóźnia przez to spełnienie tych celów, które przy jednozgodnem wysiłku dadzą się jednak szybko osiągnąć.

Niechaj ta praca i usiłowanie nasze, które w myśli tej podejmujemy w celu odrodzenia nas samych, a równocześnie i muzyki kościelnej zostaną uwieńczone obfitym plonem, dla dobra Kościoła i Ojczyzny.

* * *

F. Domnik: **„WESOŁY WIECZÓR"**, komedja współczesna w 1 akcie, odznaczona na konkursie dramat. Związku Teatrów i Chórów Włość. w roku 1923. Lwów 1925. Nakładem Związku Teatrów i Chórów Włościańskich..

Utwór ten cenionego i znanego autora wydany jako 22 tom „Bibljoteki teatrów włościańskich" stanowi cenny nabytek dla amatorskich teatrów, bo jest łatwy do odegrania, wesoły, przytem wprowadza nas w środowisko rodziny robotniczej, mało dotąd wyzyskane przez polskich komedjopisarzy, więc tchnie pewną naiwną świeżością, miłe robiąc wrażenie. Że rzecz dzieje się na pograniczu Śląska, więc i nuta narodowa odzywa się tu i ówdzie ocieplając pełną humoru akcję. To też z radością patrzymy na skojarzenie się w ciągu jednego wieczoru aż trzech młodych par i wszystkim, nawet najbardziej początkującym zespołom polecamy gorąco ten „Wesoły Wieczór". — Nabywać można po cenie 80 groszy za egzemplarz w biurze Związku Teatrów i Chórów Włościańskich (Lwów, ul. Mickiewicza L. 26) oraz we wszystkich księgarniach.

HENRYK GRALSKI.

Harfa.

Do jednych z najstarszych, a przecież najtrudniejszych instrumentów, należy niezawodnie harfa. Najstarsze pomniki starobabilońskie i egipskie przedstawiają nam dworskich harfistów, nie mówiąc już o piewcy Boga. Dawidzie i o starogreckiej poetce z bożej łaski. Safo, równocześnie mistrzyni tego instrumentu. Wprawdzie zmienia się kształt zewnętrzny harfy z biegiem stuleci i tysięcy lat, zowie się ona w Grecji lirą, kitara, barbitonem, u Egipcjan zaś pisar, u Chińczyków „tsze" lub „kin", u Buddystów indyjskich galembung lub asor, u Hebrajczyków kusir, canum, u Turków santir, w średniowieczu zowie się rotta lub saltarium, nie wliczając już do tego rodzaju instrumentów harfowych cały szereg dawniejszych, podobnych do harf instrumentów, z których najważniejszą jest harfa Dawida (Arpa doppia), najwięcej zbliżona do dzisiejszego typu harfy, pochodzącej z 1820, a skonstruowanej przez Erarda, który każdą struną pozwala dwa razy podwyższać o pół tonu. Od najdawniejszych czasów do chwili obecnej istnieje wielki wybór kompozycyj harfowych, chociaż mało jest prawdziwych artystów i mistrzów na tym boskim instrumencie.

Do takich mistrzów z bożej łaski należy mistrz prof. Klicka z Pragi, który niedawno dopiero zabłysnął na horyzoncie muzykalnej Europy i triumfalnym pochodem zyskuje sobie serca wszelkich przyjaciół wysokiej muzyki. Zawita on do Krakowa jako gość słynnego Krak. Towarzystwa śpiewackiego „Echo", na który to koncert w dn. 1 kwietnia b. r. należy zwrócić uwagę wszystkich prawdziwych przyjaciół muzyki, nie w imię reklamy, lecz wręcz przeciwnie, z przyczyn idealnych.

HENRYK GRALSKI.

Z zagadnień sztuki.

Cudowne dzieci.

Zachwycamy się 6-letnią gwiazdą filmową jaką jest lub był Jacek Coogan, podziwiamy od czasu do czasu wirtuozów, czy to muzykalnych lub akrobatycznych, ale mało kto wie, że tego rodzaju „cudowne dzieci" znajduje się w najrozmaitszych dziedzinach życia i że fałszywem jest pojęcie, iż takie dzieci są anomalją i szybko umierają. Już sama historja literatury światowej wykazuje, iż najwięksi genjusze wykazywali swe skłonności już w młodym wieku. Lope de Vega już w 5-tym roku życia pisał wiersze; nic dziwnego więc, że żyjąc 81 lat sklecił ponad 27.000.000 rymów. To samo można powiedzieć o Angliku Cambello i Bulverze, o Rafaelu i Michale Aniele, o Meyer Beerze, Mozarcie, Pascalu, Bethovenie, Herubinim i t. d. Najciekawszym jednak objawem był Niemiec Karol Vite, urodzony w r. 1800, zmarły w 1883. W ósmym roku życia zdobył on doktorat filozofji, w dziesiątym doktorat prawa, w trzynastym był już profesorem uniwersytetu, niemniej słynny prawnik jak literat i poeta, a żył mimo wszystko 83 lat. Kto temu nie wierzy, niech zaglądnie w pierwszą lepszą encyklopedję. Nie znaczy to jednak, że cudowne dzieci zupełnie się także marnują jak to było z Baratier XVIII stulecia, który w piątym roku życia władał 6-ma językami i przed królem duńskim dyskutował w greckim języku i Iljadzie Homera, ale już w szóstym roku życia umarł.

HENRYK GRALSKI.

AFORYZMY.

Całe życie nasze jest jedną symfonją, a każdy z nas stoi przy pulpicie i dyryguje; pod batutą naszych namiętności preluduje „fortepiano nerwów, zanim w ogólnym nastroju wszystkie instrumenta życia się odezwą. Już wpadają pierwsze skrzypce uczucia i intonują wygórowaną pieśń miłości, a flet im wtóruje dziecinną ufnością, a czello głębokiem zaufaniem i wszystkie inne harmonje zdrowych instynktów i dążeń. Ale już odzywają się też po drugiej stronie całe zastępy głosów rozumu i zadaje kłam wszystkim smyczkowym polotom nadęta zarozumiałość i klarnet szyderstwa już zdradza, a fagot się śmieje, a trąby pękają ze złości, a bęben oszczerstwa wszystko zabija — i wszystko razem się zlewa i krzyczy, i płacze, i błaga, i grozi, i rośnie, i upada, i — zwycięża! Aż wtem kapelmistrz przerywa... batuta wypada mu z rąk... ręka sięga pod serce... koniec! Szczęśliwy ten kto przy pełnej orkiestrze i podczas koncertu z batutą w ręku... zakończy!

* * *

Komu sztuka jest jak chleb powszedni, temu i serce, jeśli czasem „zczerstwieje" szybko się odświeży w cieple... piękna wewnętrznego.

* * *

Igrają z uczuciem, a myślą, że... grają z uczuciem...

* * *

Można być dziedzicznie „obarczonym" też... talentami.

* * *

Kto nie umie sam być wielkim, chce być przynajmniej wielkich... wrogiem.

Dział Związku Nauczycieli śpiewu i muzyki w szkołach państwowych i prywatnych.

FELIKS DZIUBAN.

Uwagi o programach do nauki śpiewu.

(Ciąg dalszy).

Jeżeli jest piosenka dwu-głosowa, niech wszyscy uczniowie prześpiewają wpierw pierwszy głos, a potem druki, wkońcu dopiero rozdzielić klasę na dwa głosy. Następnie zmieniać partnerów, — ci, co śpiewali raz pierwszy głos, niech później śpiewają drugi. Przez taką zmianę głosów wprawiają się dzieci ogromnie w czytaniu i trafianiu nut, również w orjentacji nutowej.

Z powodu braków śpiewników u dzieci należy pieśń nową napisać na tablicy, a uczniowie odpisują w zeszytach, aby mieć zawsze materjał nutowy pod ręką. Najlepiej byłoby, gdyby można zaprowadzić w klasach śpiewniki drukowane, bo uniknęłoby się straty czasu na pisanie nut na tablicy, rozprężenia się karności podczas tego i wreszcie przy odpisywaniu nigdy nie jest się pewnym, że odpis został dobrze uskuteczniony.

Jeżeli mówiłem o przemianie głosów, t. zn., że ci, co śpiewali raz pierwszym głosem, śpiewają potem drugim, to odnosi się tylko do zwyczajnych lekcyj klasowych, a nie do stałego chóru szkolnego międzyklasowego. W chórze takim przeznacza się stale do pierwszego głosu, do drugiego, ewentualnie i do trzeciego, po sprawdzeniu skali i barwy głosowej.

Głosy należy podług siły brzmienia ustosunkować i tak skrajne niech będą silniejsze, środkowe zaś słabsze. Jeżeli to jest chór trzygłosowy, to głos pierwszy i trzeci winien być liczniej obsadzony, a drugi słabiej. Głos pierwszy, jako prowadzący melodję, samo przez się, rozumie się, że musi być najwybitniejszy, a trzeci zaś dlatego, bo posiada fundament harmoniczny. Drugi głos jest wypełnieniem harmonji między pierwszym i trzecim, stąd też nie może się wybijać siłą ponad tamte dwa.

Przy zaczęciu pieśni przestrzegać bezwarunkowo równości. Dzieje się nieraz, że jedne dzieci zaczęły już, a drugie, czy to z braku uwagi, czy z innego powodu, wpadają w słowo lub też po niem, a to przecież jest niedopuszczalne. Przed zaczęciem zwrócić uwagę dzieci na siebie przez zapowiedź lub podniesienie ręki w góry, — na skinienie, wszystkie usta równiuteńko wymawiają początek śpiewanej pieśni.

Zazwyczaj w pieśniach są poznaczone cieniowania, ale prócz przestrzegania i zastosowywania się do nich, należy pamiętać, że przy wznoszeniu się melodji w górę bezwiednie pociąga nas i wzmocnienie siły głosu, zaś przy opadaniu melodji, ściszanie. Ten naturalny pociąg należy wykorzystać i stosować. Przy tonach o dłuższej wartości, szczególnie w tempach wolnych, należałoby je wzmacniać i ściszać, chyba że kompozytor życzył sobie czegoś innego i to wyraźnie zaznaczył. Końcowe tony pieśni o rytmie wolnym, również ściszać, a jak to pięknie, jeżeli niejako rozpływa się w przestworzu.

Tempo śpiewanych pieśni ma być takie, jak utwór tego wymaga. Ileż to razy słyszy się marsza śpiewanego w tempie rozwlekłem, że niktby się nawet nie domyślił marsza-krakowiaka, jak pieśń kościelną i t. p.

Przy takich więc pieśniach o rytmie szybkim, muszą dzieci słowa ostro i krótko wymawiać, inaczej wypadną z tempa. Dobrze jest dla wdrożenia się w rytm nawet lekko klaskać, szczególnie z początku przy uczeniu pieśni w klasach niższych. Taktowanie przez dzieci również utrzymuje melodję pieśni w należytym rytmie.

Bardzo często spotyka się błąd w śpiewie — podjeżdżania głosem w górę. Dałoby się to porównać z posuwaniem palca po strunie przy grze na skrzypcach. Zawodzenie takie bezwzględnie wykorzeniać, bo raz, że to szkaradnie brzmi, a po wtóre obniża się zazwyczaj tonację i fałszuje harmonję. Tony muszą być pewnie trafiane, bez niepotrzebnej i szkodliwej ligatury.

Co do chóru tak szkolnego, jak wogóle, nasuwa się jeszcze jedna uwaga — winien być ześpiewany. To ześpiewanie polega na tem, aby pojedyncze głosy danych jednostek nie wybijały się ponad inne. Słuchając chóru, można niejednokrotnie powiedzieć kto w nim bierze udział, bo po głosie wybijającym się rozpozna osobę śpiewającą. Głosy w chórze mają być o brzmieniu równem, a brzmiącem tak, jakby od jednego człowieka pochodził. Dokąd się tego nie osiągnie, chór brzmi nie efektownie.

Na tem kończyłyby się moje krótkie uwagi o programach ministerjalnych do nauki śpiewu. Na kilkunastu lekcjach należałoby wykazać, jak w praktyce miałyby takie lekcje wyglądać? Na pytanie to, będę się starał szeregiem lekcyj z różnych klas w następnych numerach „Muzyka i Śpiew“ odpowiedzieć.

Próba czytania nut głosem

w warszawskich szkołach powszechnych.

Inspektorat szkół powszechnych m. Warszawy, powierzywszy pieczę nad nauką śpiewu zawodowej instruktorce, dąży, przez szereg zarządzeń i odpowiednią kontrolę do postawienia tego przedmiotu na właściwym poziomie. Jednym ze środków pomocniczych do osiągnięcia tego celu będzie coroczna próba czytania nut głosem, przeprowadzana w coraz-to innych klasach, po której szkoły o najlepszych postępach otrzymują wezwanie do ubiegania się o nagrody międzydzielnicowego (mowa tu naturalnie o dzielnicach wielkiej Warszawy) „Święta Pieśni“. Nagród tych jest kilka: pierwszą ustanowił w roku ubiegłym Prezydent Rzeczypospolitej, dalsze, w formie małych szkolnych bibljotek muzycznych do użytku dzieci, firma Gebethner i Wolff; będą zapewne i inne fundacje.
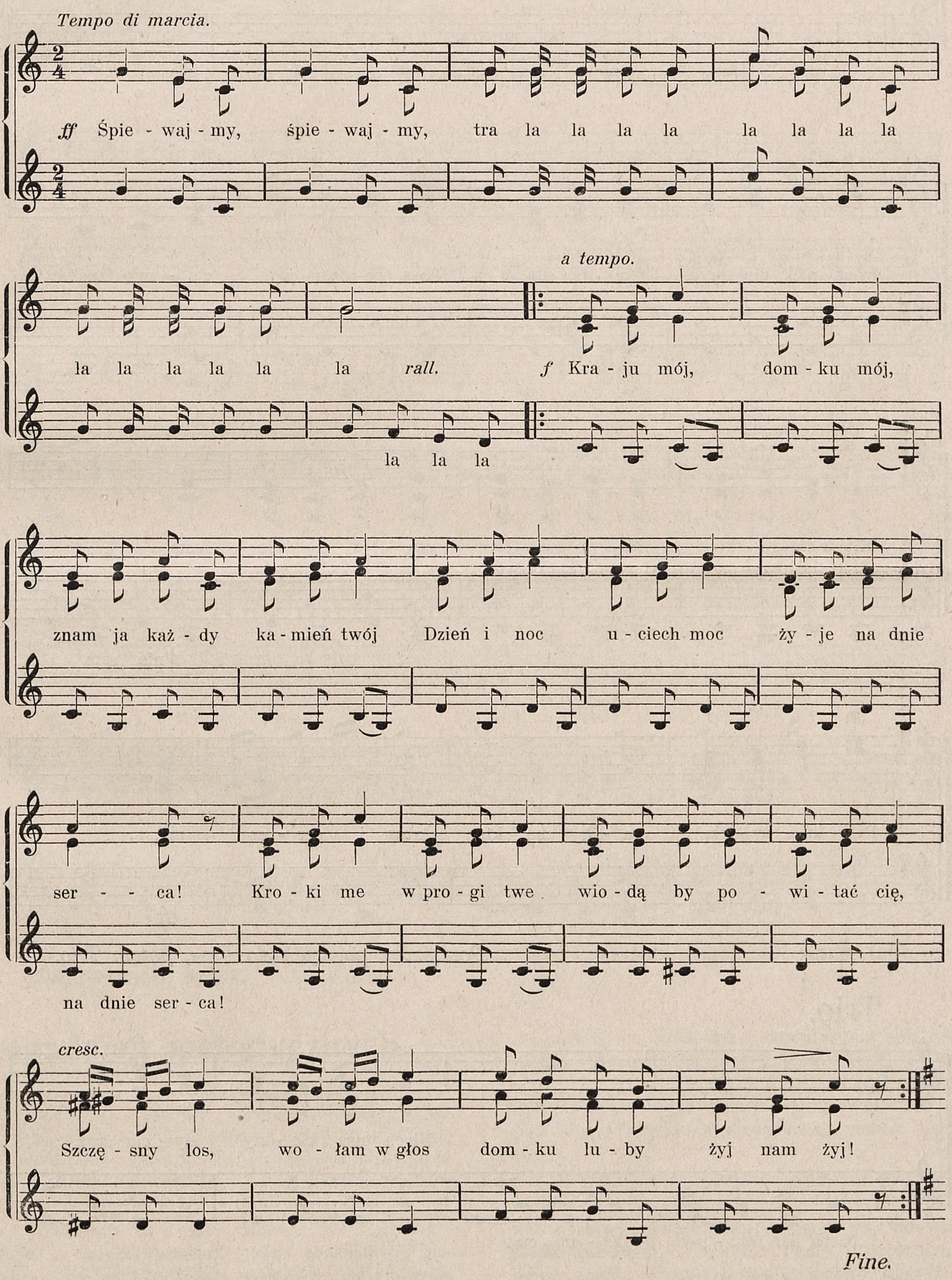
Zadaniem klas wezwanych do „próby“ było wykonanie samodzielne, z taktowaniem jednego z poniżej podanych tematów, wybranego na chwilę przed próbą przez nauczyciela; charakter tematu można było omówić z dziećmi, zapomocą pytań. Z wezwanych klas 35, odśpiewało swe zadanie 18, albo samodzielnie, albo przy częściowej pomocy nauczyciela z wynikiem bardzo dobrym, dobrym lub dostatecznym; między niemi klas 5 (uczących się solfeggia rok drugi, trzeci lub czwarty) temat najtrudniejszy z zupełną swobodą i samodzielnością. Jak na pierwszą próbę wynik taki uważać można za wcale pomyślny. Błędy, które występowały najczęściej w tym przeglądzie, dadzą się tak zgrupować: 1) Słaba rytmika przechodząca w arytmię; 2) brak samodzielności u dzieci, graniczący z bezwładnością. Niektóre próby robiły wrażenie egzaminów nie dzieci, lecz nauczycieli, którzy w swem zdenerwowaniu sami popadali w błędy; mimo informacji zalecającej usamodzielnienie dzieci, nauczyciele liczyli głośno, poddawali rytm i melodję, wskazywali palcem nutę po nucie etc. 3) Nieznajomość programu, którego skutkiem były brak taktowania, nieumiejętność gamy, nut i t. d.

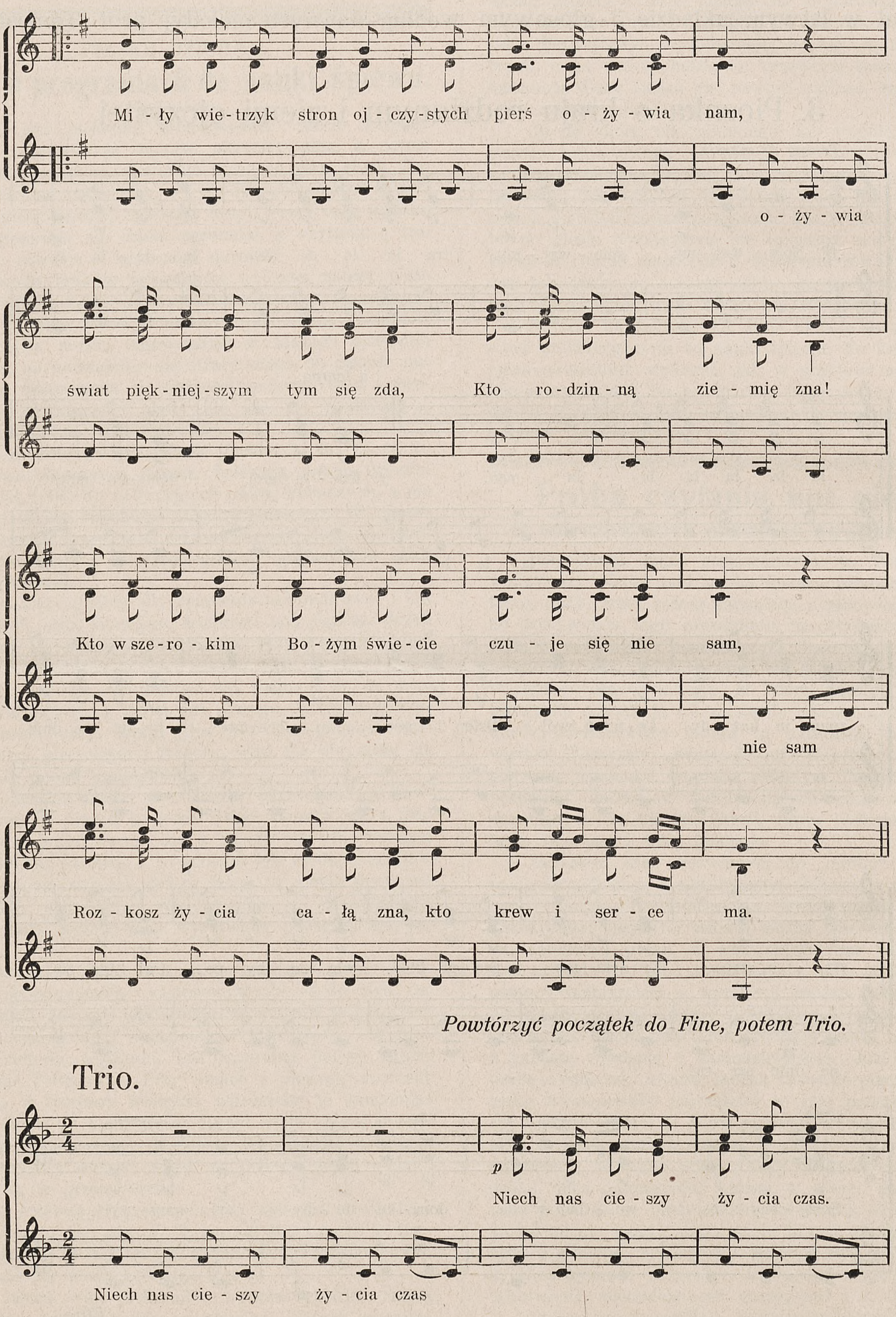
Ciekawym szczegółem, potwierdzającym tezę, że wykształcony ogólnie i metodycznie muzykalny nauczyciel, może pracować z pożytkiem nad śpiewem szkolnym, był

Wieniec Pieśni i Piosenek dla dziatwy szkolnej

opracował w łatwym układzie 3-głosowym według dawnych melodyj prof. Tomasz Flasza.

3. Piosnka o kraju rodzinnym i ziemi ojczystej.



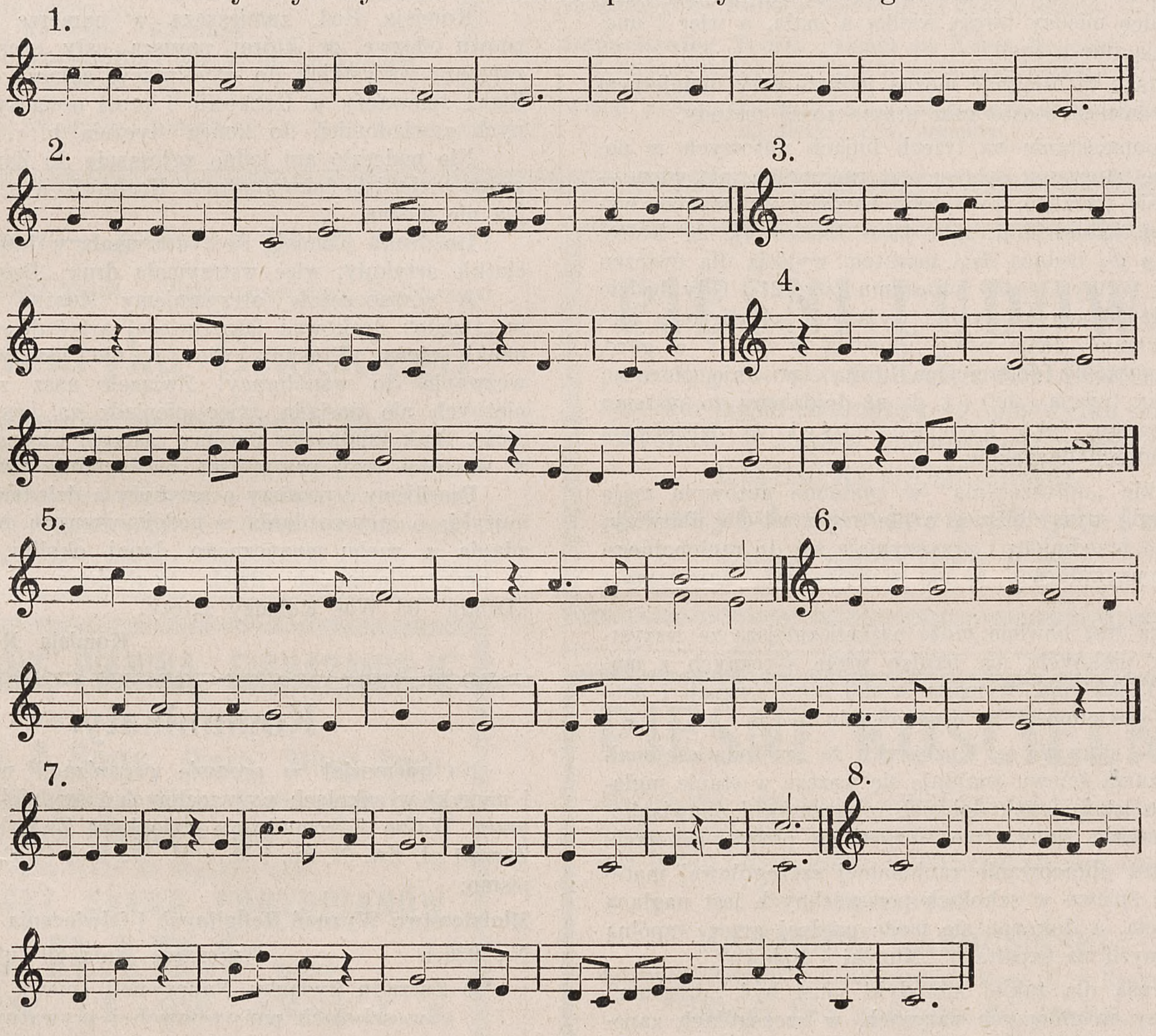

Mi - ły wie - trzyk stron oj - czy - stych pierś o - ży - wia nam,
o - ży - wia
świat pięk - niej - szym tym się zda, Kto ro - dzin - ną zie - mię zna!
Kto w sze - ro - kim Bo - żym świe - cie czu - je się nie sam,
nie sam
Roz - kosz ży - cia ca - łą zna, kto krew i ser - ce ma.
Powtórzyć początek do Fine, potem Trio.
Trio.
p
Niech nas cie - szy ży - cia czas.
Niech nas cie - szy ży - cia czas

ten, że w pięciu najlepszych szkołach sprawa umuzykalnienia spoczywała w ręku trojga nauczycielstwa oddziałowego i jednej specjalistki, w trzynastu mających wyniki dobre i słabsze uczyło pięcioro oddziałowych i cztery specjalistki, a w siedmnastu pozostałych pracowało prócz nauczycielstwa oddziałowego, jeszcze czworo specjalistów. Nie może być przytem użyty na obronę kogokolwiek argument, że nauka solfeggia rozpoczęta zapóźno, wskutek zmiany siły niefachowej na specjalistę nie mogła przynieść rezultatów, bo w ocenie wyników brano pod rozwagę szereg motywów jak: istotny czas trwania nauki solfeggia, ilość lekcyj tego przedmiotu w b. r. szkolnym, stopień trudności wybranego przez nauczyciela tematu i i.

Pozostałby jeszcze do wyprowadzenia wniosek, że nauczyciele - specjaliści widocznie więcej starań dokładają do uzyskania znakomitych chórów niż solfeggja; ma to wszelkie pozory prawdy, jednakowoż przypadek zdarzył, że i pod tym względem zwycięstwo przypadło niespecjalistom: na 13 chórów klasowych, odśpiewanych po solfeggiu (5 oddz., 8 specjalistów) dwa najlepsze przedstawiły nauczycielki oddziałowe, dalsze trzy jedna siła oddziałowa i dwoje fachowców.

I. B. B.

Tematy wykonywane w czasie prób czytania nut głosem.



8 temat wykonała szkoła uczona systemem Czerniawskiego. — Ułamek taktowy miały wskazać dzieci.

Z zagadnień metodycznych.

Poruszona przez p. F. Kozłowskiego w jednym z poprzednich Nr. „Muzyki i Śpiewu“ kwestja solmizacji zgłoskami aretyńskiemi w k a ż d e j tonacji, nietylko w *C*, nie jest rzeczą nową. Już przed blisko dwudziestu laty zapoczątkował ten system znany pedagog Max Batke, dyrektor seminarjum muzycznego w Berlinie i w swych pismach metodycznych „Elementarlehre der Musik“, „Primavista“, „Singebüchlein“ i innych obszernie rzecz przedstawił, podając zarazem wiele praktycznych sposobów poglądowego prowadzenia nauki śpiewania z nut.

Jeżeli p. Kozłowski samodzielnie doszedł do postawienia poruszonego zagadnienia, jest to dowodem, że w rzetelnem poszukiwaniu lepszej drogi w nauczaniu spotkać się mogą ludzie z najodleglejszych stron, a gdy i wyniki ich usiłowań są identyczne, muszą być temsamem trafne.

Metodę tę stosowałem oddawna w praktyce i doszedłem do przekonania, że znakomicie ułatwia pracę, rozbudzając równocześnie prawdziwą muzykalność. Trafianie interwali w obrębie gamy, rozróżnianie półtonów (si-do, mi-fa) od całych tonów opanowują dzieci w czasie o wiele krótszym, niż przy jakiejkolwiek innej metodzie,

a nadto uzyskują grunt pod przyszłą budowę systemu tonalnego w okręgu kwintowym i pod naukę modulacji (bezwiednie!).

Nadto przy użyciu zgłosek do-re-mi i t. d. na każdą tonację, ćwiczymy głos wszechstronnie, bo w każdej pozycji możemy używać pięciu głównych samogłosek (ut = do, re-mi-fa-sol), nie zaś, jak dotąd, związanych jedynie z pozycją gamy *C*, a w innych tonacjach mylnie oznaczających interwale gamo-właściwe.

Oznaczanie k a ż d e j gamy durowej zgłoskami: do, re-mi-fa-sol-la-si-do doprowadzi mechanicznie do zrozumienia istoty jej budowy z dwóch tetrachordów, zaś śpiewanie gam mollowych naturalnych, czyli djatonicznych od: la-si-do-re-mi-fa-sol-la, uwydatnia należycie różnicę między tercją wielką a małą, a więc i między tonacją dur a moll.

Rezultaty te osiągnąć można jedynie przy umiejętnem i konsekwentnem stosowaniu przytoczonej metody.

Czy poprzestanie na trzech linjach nutowych w początkowem nauczaniu śpiewu jest racjonalne, nie wiem — zdaje mi się wszakże, że byłoby bardziej wskazanem wychodzić od jednej linji „g", jako kluczowej, na której leży i nuta g^1, będąca dziś punktem wyjścia dla ćwiczeń głosowych w myśl zasad programu (str. 21). Gdy będzie mowa o dźwiękach niższych i wyższych, a ćwiczenia głosowe poszerzać będą skalę głosową w dół i w górę, w miarę potrzeby dodamy pod linją „g" linję pierwszą („e") — czy trzecią („h") i t. d., aż dojdziemy do systemu pięcio-linjowego, jako k o n i e c z n o ś c i w dzisiejszym sposobie notacji dźwięków.

Wszelkie „uproszczenia" w systemie nutowym mają tylko o tyle uzasadnienie, o ile rzeczywiście ułatwiają zrozumienie przedmiotu i przyczyniają się do racjonalnego rozwoju muzykalności, a nie wprowadzają zamieszania pojęć.

Muzyka jest bowiem może najlogiczniejszą ze wszystkich sztuk pięknych; ma bardzo wiele stycznych z matematyką i, jak ona, wymaga ścisłej konsekwencji i drobiazgowej dokładności w opracowaniu.

Słusznie zauważa p. Kozłowski, że „metoda racjonalnego nauczania śpiewu znajduje się jeszcze w stanie mgławicy, mimo istniejących dobrych programów i obowiązkowego nauczania śpiewu we wszystkich prawie szkołach.

Stąd też opracowanie racjonalnej szczegółowej metodyki nauki śpiewu w szkołach powszechnych jest naglącą koniecznością, a dokonać się może prędzej przez wspólną wymianę myśli na szpaltach „Muzyki i Śpiewu".

Wytyczną dla takiej metodyki musi być „program" ministerjalny w głównych zarysach, w szczegółach zapewne nieco zmodyfikowany, zaś zasadą bezwzględną: „nie dużo, lecz dobrze" i „od znanego, łatwego, do nieznanego, trudniejszego". Nadto zasada k o n c e n t r a c j i przedmiotów, ich wzajemnej współzależności i związku, powinna być jak najszerzej uwzględniona, szczególniej na najniższych stopniach nauczania.

Nowy Sącz. **Józef Migacz**, naucz. szk. powsz.

Do członków.

Marcowy numer „Muzyki i Śpiewu" ukazał się bez „Działu". Powód? Nie było co drukować; prawie nic nie nadesłano. Zamiast nad nowym materjałem dysputować, zastanawiała się Komisja Redakcyjna nad przyczynami milczenia członków, badając numery „Muzyki i Śpiewu" z ubiegłych miesięcy.

Po odezwie Zarządu Głównego w numerze październikowym 1924 r. otrzymuje Komisja Red. parę dobrych, fachowych artykułów, zapowiadających ożywioną wymianę myśli na przyszłość.

Kol. F. Kozłowski porusza ważne zagadnienia z metodyki nauczania śpiewu i zaprasza do dyskusji. Komisja Redakcyjna powstrzymuje się od wydawania swej opinji, by w niczem nie krępować kolegów, ale razem z kol. F. Kozłowskim czeka na dyskusję do dziś napróżno.

W grudniu i styczniu nie nadesłano literalnie nic do druku. Poruszone myśli przebrzmiały i nie natrafiły na żaden rezonator.

Komisja Red. zamieszcza w numerze styczniowym znowu odezwę, w której porusza cały szereg tematów, zaprasza wszystkich do współpracy, ogłasza równocześnie Zjazd śpiewaczy w Krakowie i prosi o nadsyłanie listownych zawiadomień do końca stycznia b. r.

Nie nadeszło ani jedno zgłoszenie do Zarządu, wobec czego o zjeździe śpiewaczym w Krakowie w b. roku marzyć już nie można.

Do druku Komisja Red. otrzymała w lutym dwa króciutkie artykuły, więc wstrzymała druk „Działu".

A równocześnie otrzymujemy słuszne żądania by w „Dziale" drukować jaknajwięcej artykułów z metodyki nauki śpiewu. Prosimy więc o nie, ponawiamy nasze wezwanie do współpracy! Związek nasz zasobów pieniężnych nie posiada, więc pieniądz za nas myśleć nie może. Brak funduszów musimy zastąpić własną pracą, a ta w wartości swej przewyższa niesłychanie pracę najemną.

Prosiliśmy i prosimy o artykuły z dziedziny metodyki, muzyki, o sprawozdania z podejmowanych prac, sprawozdania z ruchu muzycznego danej okolicy, o recenzji z przestudjowanych dzieł. Pogłębienie i rozszerzenie „Działu" od Was Koledzy zależy.

Komisja Redakcyjna.

Komunikaty.

Na memorjał w sprawie organizacji nauki śpiewu i muzyki w szkołach powszechnych i średnich, uchwalony przez Walne Zgromadzenie członków Związku, otrzymał Zarząd gł. Zw. N. Śp. i M. z M. W. R. i O. P. następujące pismo:

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Nr. 935/I. Warszawa, dnia 19 lutego 1925 r.

Do Zarządu Związku Nauczycieli śpiewu i muzyki
w szkołach państwowych i prywatnych
w K r a k o w i e.

W odpowiedzi na przedłożony memorjał z dnia 30 października 1924 w sprawie organizacji nauki śpiewu i muzyki w szkołach powszechnych, średnich i seminarjach nauczycielskich, Ministerstwo W. R. i O. P. oznajmia, że postulaty zaznaczone w memorjale jak najżyczliwiej rozważy przy opracowywaniu programów naukowych różnych rodzajów szkół i starać się będzie uwzględnić je, o ile to tylko okaże się możliwem ze względu na całokształt ustroju szkolnictwa.

Ministerstwo zaznacza, że w pracy tej skorzysta ze współudziału znawców z tej dziedziny, należących do Związku.

Za Kierownika Ministerstwa:
(podpis)
Dyrektor Departamentu.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Roman Ferek. Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie“.